Nr. 5 CENA (PRIX) 3 Frs

En page 6 : EXTRAITS ET RÉSUMÉS, EN FRANÇAIS, DES ARTICLES PARAISSANT DANS CE NUMÉRO

Wiadomości Polskie

LES NOUVELLES POLONAISES

HEBDOMADAIRE

POLITYCZNE I LITERACKIE

TYGODNIK

ROK I. — NR. 5. — PARYŻ, NIEDZIELA 14 KWIETNIA 1940

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

PARIS,
52, avenue des Champs-Elysées,
app. nr. 376. Tel.: ELY 64-46.
Metro: Marbeuf.

Codzień w g. 10—12 i 15—19.

Konto **w Banku Polskiej Kasy Opieki** (23, r. Taitbout) **nr. 72.**

CENA PRENUMERATY:

We Francji kwart. **35 fr.**, półrocz. **65 fr.**, rocz. **125 fr.**
(W Paryżu prenumeratę można zamawiać telefonicznie)

Zagranicą kwartalnie: w Anglji 6 s. 6 d., w Belgji — 8 belgów, w Danji, Norwegji i Szwecji — 7 koron, w Holandji — 3 floreny, na Litwie — 6 litów, w Palestynie — 45 piastrów, w Rumunji — 400 lei, w Szwajcarji — 7 fr. szwajcarskich, na Węgrzech — 8 pengö, w Stanach Zjednoczonych i w pozostałych krajach — 1.50 dolara.

JAN LECHOŃ

POEZJA WARSZAWY*)

Spomiędzy codziennego życia — jakże codziennego, jakże często przez Polaków z innych dzielnic zwanego lekkomyślnem, powierzchownem, stolicy wielkiego państwa niegodnem — nie po raz pierwszy wezwana została Warszawa by zaświadczyć przed historją o miłości do kraju, o bohaterstwie i o tego bohaterstwa jakże ludzkim, jakże prostym stylu. Nie po raz pierwszy — ale nigdy dla tak wielkiej ofiary, takiego męczeństwa, wobec którego blednie i niczem staje się owa rzeź Pragi, o której szła przez tyle pokoleń ponura legenda, niczem całe lata carskiej niewoli, które przecież zapaliły najpłomienniejsze słowa naszych poetów. I kiedy patrzymy na owe niepojęte dochodzące nas dokumenty, na ów Zamek w gruzach, na szkielet wspaniałego teatru Corazziego, na roztrzaskany plac Piłsudskiego, na perspektywę, co się otwarła naraz za pomnikiem Kilińskiego, którego tło całe zostało zmiażdżone przez bomby — przecieramy oczy i pytamy się sami siebie: jestże to możliwe — żeby to nasza droga lekkomyślna Warszawa doznała tak antycznego losu i co więcej, aby go sobie dobrowolnie wybrała? I w tem zdziwieniu jest największy nasz hołd dla Warszawy. Bo jak ludzie, dzieła i organizmy, obdarzone największą kulturą, wstydzą się tego co w nich najpiękniejsze, najgłębsze, tak i Warszawa chowała na codzień pod swoim beztroskim uśmiechem, lub pod swoim śmiechem nie zawsze wybrednym, owo jakże patetyczne dziedzictwo tylu jej cierpień i ofiar, dziedzictwo które weszło w jej krew, gotowe w każdej chwili objawić się w nowem wspaniałem bohaterstwie. Dzisiaj też myślimy, że owych lat dwadzieścia, w czasie których tyle razy zdawało się nam, że nie poznajemy naszego rodzinnego miasta, że Warszawa Żeromskiego, Warszawa Prusa, jakby odmieniła swe gorące serce i swój styl pełen dyskrecji i kultury — myślimy, że to był jakby odpoczynek po stu latach nieustannego, codziennego oporu przed nową walką i nową ofiarą. I ogarniając wstecz historję Warszawy, gromadząc nasze wspomnienia, widzimy że byłoby to wbrew wszelkiej logice, wbrew wszelkiemu prawu, które miasta jak ludzi obdarza na zawsze własną duszą, że byłoby to niepojęte, by Warszawa mogła kiedykolwiek odmienić tę duszę, urobioną przez wielką, wielowiekową kulturę. Z perspektywy, którą nam daje wspaniałe miasto dziś nas goszczące, widzimy dopiero jak bardzo Warszawa mimo przeciwnych pozorów tę kulturę wyrażała. Bo Paryż, z którym oczywiście trudno poprostu naszą Warszawę porównać, jest także pełen powierzchu owej musującej piany a nawet i mętnych fusów — i kto tylko to zdoła dostrzec, może lata tu przebyć, nie dostrzegając nic innego i niezdolny nawet wyobrazić sobie, że są pisarze francuscy, wielcy znawcy życia i bynajmniej nie purytanie, których noga nie postała w żadnym z barów Montmartre'u; że prawdziwy paryżanin, a nie międzynarodowy cygan, wędrownik salonów, może nie czytać ani jednej zwrotki Eluarda, ale nie może nie znać napamięć tyrad Rasyna; że ktoby brał cyniczną stylizację i brawurę przeciętnego Francuza za jego nieczułość na sprawy kraju, mógłby się nie tylko pomylić, ale nawet narazić; że to co w sztuce francuskiej nawet bardzo nowoczesnej jest istotnie trwałe — zawsze szuka swego rodowodu, w jakiejś tradycji, jak Proust u Montaigne'a i Saint-Simona. Nie znaczy to, oczywiście, że Paryż jest tylko poważny, tylko tradycyjny, ale to jedynie że jest w Paryżu wszystko co ludzkie, że każda epoka zostawiła tu coś ze swojej nauki, swego czaru, co pozwala tu każdemu odnaleźć siebie, zrozumieć wszystkie idee i wszystkie pasje. Kultura jest to zawsze przedewszystkiem harmonja, kompozycja życia, danie w niej wszystkiemu co ludzkie właściwego miejsca, i w tym sensie «Chłopi» Reymonta byli rewelacją kultury chłopskiej, w tym też sensie w Paryżu kulturalny jest każdy i od konsjerża i kierowcy taksówki poczynając, ma swój stosunek do religji, swoją filozofję polityczną, swój wybrany dziennik i swoje ulubione potrawy — tak samo jak mają je regenci «Banque de France» i członkowie Akademji Francuskiej.

Otóż jeżeli pójdziemy myślą do okresu Warszawy w pierwszych latach naszego wieku, do okresu, w którym najbardziej zarzucano jej lekkomyślność, bez trudu, na podstawie wspomnień, pism i książek, które wtedy wychodziły z druku, zobaczymy ile w Warszawie wówczas było kultury, ile pełnego życia, ile raczej kultur, jak mimo niewoli żyła ona bogato, pełno i po polsku.

Widzimy w niej przedewszystkiem ów znak starej kultury — to co nas tak uderza w Paryżu — że mianowicie każda warstwa mądrzej lub płyciej, bardziej lub mniej — ale żyje po polsku, ma swoją kulturę, swoje poglądy, swoje książki i swoje zabawy, poczynając od drobnych rzemieślników, którzy mieli swoją Archikonfraternję Literacką, swego «Polaka-Katolika» i swój luksus życiowy w składaniu wizyt i przyjacielskich przyjęciach.

Ów ześni postępowcy walczyli zaciekle z nieczułością wielkich panów — ale przecież to oni, wielcy panowie, wydawali «Bibljotekę Warszawską», łożyli pieniądze na sztukę, na oświatę. Nie rozumieli oni i nie rozumiejąc zwalczali Wyspiańskiego, ale zato iluż z nich znało napamięć stronice z «Pana Tadeusza» i całe sceny z «Zemsty»; gorszył ich, to prawda, choć nie wszystkich, Jacek Malczewski, ale zachwycali się Fałatem i Chełmońskim, co więcej — kupowali ich obrazy. Jeździli bawić się do Paryża i na Riwjerę, to też prawda, ale czytali też «Revue des Deux Mondes» i nie omijali Komedji Francuskiej. Mieli oni swój program polityczny, który można i trzeba było zwalczać, ale jak w Krakowie trzeba było na to przeciwstawić się Bobrzyńskiemu, który nie mając wielkiego pisarskiego talentu miał myśli na miarę Wyspiańskiego — tak ten, kto chciał zwalczać warszawskich realistów, musiał walczyć ze Spasowiczem i z wielką tradycją Margrabiego. Postępowcy znów mieli swoją «Prawdę» i tak wielką osobę, takiego mistrza języka za wodza jak Aleksander Świętochowski, przedewszystkiem zaś mieli mistykę wiedzy nie mogącej się wypowiedzieć przez uniwersytety, i ta mistyka napozór materjalistyczna, a tak bardzo po polsku romantyczna, była prawem ich życia, stwarzając z nich jakby zakon, oddany swej religji, gotów dla niej do wszelkich ofiar i poświęceń.

Żeromski należy właściwie do innego świata, ale ze współżycia z nim w młodości, z owej atmosfery Prusa, w której przebywał, zachował do końca ów romantyzm wiedzy, ową poezję nauczania, która wydała też bohaterkę żywą, mającą przez niezwykłą książkę stać się jedną z najpiękniejszych bohaterek literackich i najbardziej znaną na świecie polską postacią kobiecą.

Panna Ewa Curie, która tę książkę tak w zamiarze skromną a w wykonaniu tak zjawiskową i trwałą napisała, nie znała «Siłaczki» Żeromskiego, ale z niebywałych w swej czystości listów Matki, z rozmów z jej siostrami, wspominając też dzieciństwo upłynione w owej z Warszawy przywiezionej religji wiedzy i poświęcenia — stworzyła opowieść prawdziwą, którą się czyta jak bajkę. Jest to bajka o takiej właśnie jak bohaterka Żeromskiego biednej polskiej nauczycielce, ale nawiedzonej genjuszem, który nie daje je zginąć i pozwala, osiągnąwszy w życiu wszystko, sięgnąć zarazem tragizmu marzeń spełnionych, opłaconych utratą szczęścia i tęsknotą do rodzinnej biedy, do owej Wisły, o której w jednym z cudownych listów tak wzruszająco pani Curie pisze:

Poszłam wczoraj na samotny spacer w stronę Wisły. Rzeka leniwie toczy w szerokiem łożysku swe wody, które zbliska wydają się mętne, lecz wdali błękitnieją odblaskami nieba. Urocze ławice piasku, rzucone tu i ówdzie, złocą się w płomieniach słońca, kapryśnemi skrętami kierując bieg fal. Wzdłuż brzegu tych mielizn olśniewająco jasne pasy znaczą granicę głębi. Czuję nieodpartą potrzebę błądzenia po owych plażach, świetlistych, przecudnych...

Jest jedna piosenka krakowska, która mówi, że czar tych polskich wód jest tak wielki, iż kto je raz pokochał, nie zapomni ich do grobu. Co do mnie te słowa są całkiem prawdziwe. Ta rzeka ma dla mnie powab, którego istoty nawet pojąć nie potrafię.

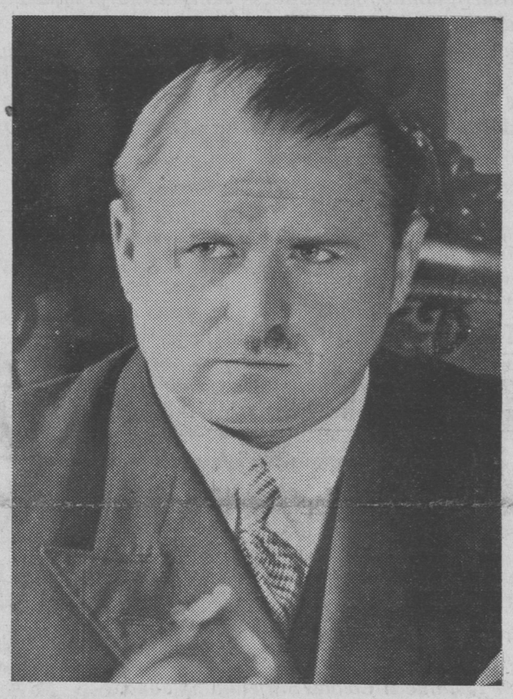

Stefan Starzyński 3.490

Opowieść o życiu pani Curie, należąc do literatury francuskiej, nie tylko też należy do naszego polskiego życia, ale jest odkryciem Polski jakiej świat nie znał, odkryciem bohaterstwa innego niż owo sienkiewiczowskie, szumne, huczne, związane na zawsze z naszym narodem, bohaterstwa które świat współczesny bardziej podziwia — poświęcenia codziennego bez rozgłosu i poklasku, ofiary dla oświaty i wiedzy.

W całej bodaj literaturze świata niema takiej bohaterki, niema życia tak związanego z tym ludzkim, humanitarnym ideałem, tym właśnie, który najczęściej dziś zapala serca narodów wolnych i wierzących w ludzkość. Z tej książki tak skromnej i niezamierzonej jako literatura, czytelnik amerykański czy angielski dowiaduje się, że pani Curie, jedna z najbardziej uwielbianych przez świat postaci współczesności, była Polką nie tylko z urodzenia, ale że jeżeli przeszła przez tyle nędzy, aby dojść do swego czarodziejskiego odkrycia, jeżeli osiągnąwszy wszystko, miała tylko wyniosły chłód dla bogactwa i poklasku, jeżeli do końca życia z wiedzy swej chciała przedewszystkiem czerpać ulgę dla cierpiących — to było to dlatego, że tak uczyli ją biedni warszawscy nauczyciele, jej rodzice, że tak samo czuli i myśleli wszyscy, których obraz zachowała z dzieciństwa, że ten jej ideał życia był wspólnym ideałem iluż dziewcząt i chłopców, których znała kiedy była małą Maniusią Skłodowską z pensji panny Sikorskiej, ona jedna powołana do wielkiego losu, ale zarazem jedna z iluż tysięcy, którzy mieli zginąć, jak owa «Siłaczka» Żeromskiego, ani na chwilę nie zaparłszy się swych marzeń.

Tak bowiem jak owi Skłodowscy, jak tysiączne rodziny im podobne, żyła wtedy owa postępowa Warszawa której «Prawda» Świętochowskiego i jego kryształowa, lodowata proza były tylko wspaniałą fasadą. Za tą ozdobną budowlą kryło się to właśnie ważne dla kultury życie całej warstwy, zbudowane według naczelnego ideału, życie którego uśmiechem było kupno jednej z dziś jakże przestarzałych a niegdyś jakże roznamiętniających książek epoki, z uśmiechem pobłażania oglądanych przez nas w dzieciństwie w ubogich, a z jakimże trudem zdobywanych bibljotekach naszych ojców. Życie pani Curie było objawieniem dla świata, ale iluż ludzi Żeromskiego, nie tylko «Siłaczka», cierpi i nieraz ginie dla tego właśnie obowiązku niesienia wiedzy, i «Ludzie bezdomni», to byli właśnie ludzie, jak Marja Skłodowska przekonani, że życie ich nie należy do nich tylko do owego wysokiego celu, któremu mają służyć. Przez całą twórczość Żeromskiego aż do «Przepióreczki» spotykamy wciąż owych nauczycieli, zdolnych pojąć najgłębsze sekrety nauki, zdobyć nowe światło a z uśmiechem pogodnym czy gorzkim idących między ubogie dzieci na wsi; robotnicy i bohaterowie wiedzy są też do ostatnich jego utworów — jednymi z najdroższych jego sercu, i jeszcze w «Przedwiośniu» oddaje on im hołd w płomiennej mowie Gajowca, przekazującego nam pamięć owych bohaterów, profesorów szkół podziemnych. To bohaterstwo miało właśnie Warszawę za stolicę, Warszawę, w której zakaz wiedzy czynił z niej jak z religji sprzymierzeńca sprawy narodowej, nie pozwalając jej nigdy skostnieć w suchem nauczaniu, a naukowcom zmechanizować się w swej dziedzinie. Nad całym zresztą pozytywizmem unosi się tradycja romantyczna (pani Curie umiała napamięć wiersze Słowackiego i Asnyka), i od pozytywizmu Prusa do Żeromskiego nie było też tak daleko jak napozór mogło się wydawać. Prus bowiem był nie tylko jak Sienkiewicz i Świętochowski uczniem Szkoły Głównej, która dała mu przyrodniczy pogląd na życie, ale dziedziczy on zarazem po powstaniach polskich, ogłoszonych już naówczas za szlachetne mrzonki, ów kult poświęcenia i porywu, z którego poszła sztuka Żeromskiego, kult który przez swą jakoby beznadziejność miał u Prusa ton niewysłowionego ciepła, wstydliwości i melancholji. To prawda że w «Kronikach» swych nawoływał on do porzucenia marzeń, prawda że dawał się nakłaniać w najlepszej wierze do wystąpień, które mogły ujść za rezygnację, ale przecież to Rzecki jest właśnie postacią, której oddał całe swe serce, całą gamę najbardziej czułych odczuć i półtonów i jeśli obdarzył go śmiesznością, to dlatego aby ukryć swe wzruszenie i aby Rzecki był nam tem bardziej drogi i bliski. Jeżeli zaś nie mogło zbraknąć Rzeckiego w «Lalce», to dlatego także, że była ona obrazem całego życia Warszawy, całej jej kultury, wszystkich jej kultur, i że niesposób było pisząc o zbankrutowanych panach, różnych naprawdę rozkosznych baronach Krzeszowskich i na wszystko idących Łęckich, o studentach, przebierających się za kościotrupy, aby straszyć nerwowe sąsiadki, o subjektach sklepowych, marzących światowe sukcesy, o komicznych lokajach, o Żydach-filantropach i Żydach-spekulantach, o wszystkich, słowem, typach i charakterach, grających naówczas ową «Komedją ludzką Warszawy», którą Prus chciał przedstawić, niesposób było nie pokazać i owego starego subjekta, który służył pod Bemem, i w nim przedstawić jakże wtedy liczny ród powstańców, którzy bili się we Włoszech, w Turcji, na Węgrzech i którzy życie spędzali na wypatrywaniu w gazetach, czy się jaki nowy Bonaparte nie rusza, ten, który nareszcie raz na zawsze zbije Niemców i Moskali. Tradycja napoleońska w całej Polsce tak żywa, że napewno żaden bonapartyzm francuski równać się z nią nie może, tradycja, która dotrwała do ostatnich lat przed czternastym rokiem i kazała dzieciom wątpić czy Napoleon wogóle nie był Polakiem — była w Warszawie szczególnie u siebie w domu, wśród podawanych przez starych żołnierzy wspomnień, wśród murów, które pamiętały bal u Murata, gdzie Napoleon poznał panią Walewską, gdzie snuły się i rozwiały złudzenia Księstwa Warszawskiego, a przedewszystkiem wśród jakiegoś oparu poezji, w którą osnuty, stał się książę Józef ulubionym bohaterem Warszawy. Jak bowiem Kraków, którego świetność zabłyska za Zygmuntów — pozostał na zawsze miastem renesansu, miastem przedewszystkiem wiedzy, świetnych profesorów, wielkich statystów, kościołów pięknej architektury — tak Warszawa odnalazła siebie, swój ton, za Stanisława Augusta, dzięki niemu ozdobiła się w swe najpiękniejsze budowle, dzięki niemu zdobyła swą filozofję, swój styl i została na zawsze miastem czarujących ułomności, zgodzonych przecież z błyskotliwością myśli, miłością do życia, stolicą obiadów czwartkowych, przy których rozlegał się zarazem uzdrawiający złośliwy żart i płynęła jasno według francuskiej szkoły głoszona dysertacja.

Z tego mądrego, ale jakże lekkiego uśmiechu rokoka rodzi się także książę Józef, który miał pudrowaną peruczkę i frak pamiętny z portretu Grassiego zamienić na baczki, czarny wąsik, ułańskie czako i burkę, i w tej romantycznej postaci stać się legendą, a ona przez wiersze Bérangera, przez wzruszające i jakże nieprawdziwe historycznie obrazki Epinalu — utożsamić się wśród obcych z pojęciem o bra-

*) Wykład wygłoszony dn. 9 lutego b. r. w Uniwersytecie Polskim Zagranicą; por. wykład z dn. 26 stycznia t. r. p. t. «Tradycja i nowość w literaturze polskiej» (nr. 2 «Wiadomości Polskich»).

JULJAN TUWIM

LEKCJA

Ucz się, dziecko, polskiej mowy:
To przed domem — to są groby;
Małe groby, wielki cmentarz,
Taki jest twój elementarz.

Ustawiły się w szeregu
Czarne krzyże w brudnym śniegu.
Na Warszawie mrok żałoby,
Ucz się pięknej polskiej mowy.

Pod zwaloną kamienicą
Leży upiór z upiorzycą,
Wyją żółte upiorzęta...
Zapamiętasz? Zapamiętam.

Nocą gniewnie przez sen krzyczysz,
Straszne ptaki w niebie liczysz,
Rano — w ziemi rozoranej
Szukasz piąstki oderwanej.

Ucz się mogił, gruzów ucz się,
Z upiorami siądź przy uczcie.
W świat potężny, w świat plugawy
Pieśń warszawskich dzieci zawyj.

JULJAN TUWIM.

ANTONI SŁONIMSKI

PIOSENKA

Nad szarą Sekwaną,
W Paryżu o zmierzchu,
Blady księżyc stanął,
Srebrzy ją po wierzchu.

Schyla się i zbliska
Na Sekwanę drżącą
Srebrem żywem ciska
W wodę ciemniejącą.

Drzewa, co już kwitną,
Pogładził i znika
Za wyspą błękitną
Świętego Ludwika.

I ja codzień we śnie,
W tę samą godzinę,
Jak on, jednocześnie
Po dwóch niebach płynę.

Tutaj chłodnym spiżem,
A tam raną krwawą:
Srebrem nad Paryżem
I krwią nad Warszawą.

ANTONI SŁONIMSKI.

wurze i honorze Polaków. W jego życiu niema wielkich zwycięstw, i kiedy czytamy Askenazego, wydaje się nam że jak na jego sławę jest ich bodaj za mało, cała jego wielkość jest w owej ludzkości, w jego upadkach i wzniesieniach, w owem wzniesieniu się już wkońcu raz na zawsze, w obraniu jednej drogi jasnej, kiedy poznał tyle błędnych, i także w zachowanym wśród wszystkich przeciwności przyrodzonym smaku: smaku do honoru, wierności, odwagi.

Nic dziwnego, że tego to bohatera ulubiła sobie Warszawa, że ów kochanek nie tylko pani Vauban i wielkich pań polskich, ale tylu też nieznanych mieszczek warszawskich, że ów książę piękny i lekkomyślny, na parę miesięcy przed śmiercią rozdzielający z równą hojnością zasiłki dla żołnierzy i kwiaty dla dam, że on właśnie przypadł do kochliwego serca Warszawy, że miano go bez końca malować i opiewać i że miał stać się bohaterem naiwnego, ale złotem pasmem poezji snutego rapsodu, w którym zarazem dźwięczy jego pamięć i miłość do Warszawy. Drogi, niezapomniany Or-Ot, który miał to szczęście, jakby symbolicznie odpłacające w nim wszystkim poetom-żołnierzom, że on, piewca księcia Józefa i Olszynki, nosił mundur polski, w tych samych czasach, gdy szły uczone burze pozytywistów na wzniosłe zamki romantyczne, gdy słychać było pomruki burz nowych, chodził jakby tego wszystkiego nie widząc wśród panów majstrów, przysłowiowo spragnionych anyżówki, opasłych i pyskatych przekupek, uczni szewskich, wędrujących z szopką, i owych starych weteranów w czamarach i konfederatkach, owych panów Rzeckich wyglądających wciąż nowego Napoleona. Jego poezja płynęła tak łatwo, rym w niej składał się tak poprostu, tak wciąż w niej to samo Stare Miasto rozbrzmiewało mieszczańskim rejwachem i starą legjonową piosenką, że stało się modą wśród pisarzy dworować sobie z owych zbyt łatwo naginających się do niego rymów i samego poczciwego Or-Ota.

I dopiero kiedy zamilkł, po horacjuszowsko czystym i dźwięcznym Gomulickim ostatni pieśniarz Warszawy, wtedy mieliśmy się spostrzec, że odkrył on w Warszawie część jej prawdziwej poezji, że widział niedostrzeżony przez innych kawałek jej prawdziwego życia i że tęsknimy do jakiejś poezji innej, nowej, ale takiej właśnie jak jego prostej i warszawskiej.

Kiedy się bierze do rąk numer «Tygodnika Illustrowanego» z pierwszych lat naszego wieku, albo czyta się katalog warszawskich z tego czasu nowości, zdejmuje nas podziw, jak Warszawa w tych latach żyła duchowo wspaniale, bujnie, rozmaicie, jak niewola rosyjska nic nie mogła przeciw temu żywiołowi polskości, temu wybuchowi talentów, jakże potężnych, jakże odmienych, które wtenczas przez Warszawę przechodziły.

Bo kto nie mieszka w Warszawie jak Prus, który ją tylko dla Nałęczowa porzucał i który całe godziny spędzał w redakcji «Tygodnika» na żartach z Or-Otem i z Or-Ota, jak okadzany i olimpijski Świętochowski, jak nigdy niedość znany i oceniony Lange, jak wspaniale zadrzemany na Parnasie Miriam, kto nie jest w redakcji «Tygodnika», czy «Chimery», czy «Prawdy», czy «Bibljoteki Warszawskiej», pism, któreby można śmiało równać z najświetniejszemi wydawnictwami Zachodu — ten albo stale do tych pism pisze, trzyma się duchowo z ich redakcją, albo razporaz przyjeżdża do Warszawy by zaczerpnąć nowin, spotkać przyjaciół, ukąpać się w tej tak wtedy różnorodnej i bujnej stolicy. Więc Sienkiewicz, wtenczas już pieszczoch świata, ma stałe mieszkanie w stolicy i między światowemi polowaniami, odpoczynkiem w Oblęgorku i wędrówkami po świecie ustawicznie zjeżdża do Warszawy, w której się wychował i której temperament i biologiczny optymizm tak dobrze godziły się z jego talentem. I tak samo Weyssenhoff tutaj spędza swój sezon klubowy, tutaj snuje się wśród towarzystwa, z pobłażliwą złośliwością ocierając się o Podfilipskich. Tetmajer tutaj przeżywa swój wielki okres i tutaj później ciągle powraca — zanim nie stanie się jakże boleśnie czczoną i melancholijną postacią, znaną przez wszystkich. W Warszawie powstają najpiękniejsze wiersze Konopnickiej; wspaniała osoba Eliza Orzeszkowa, która w rzetelnej, gospodarskiej prozie mówiła doskonałe prawdy godne największych pisarzy, jest wprawdzie panią u siebie w Grodnie, ale z Warszawą ma ciągłą styczność, nie tylko przez wydawców, ale zarazem przez ileż towarzystw, inicjatyw, szlachetnych działaczy, spragnionych jej rady, pochwały lub opieki jej nazwiska.

I kiedy wszyscy oni piszą swe najdojrzalsze dzieła, — a już nowe, świetne nazwiska pojawiają się na okładkach,— jednocześnie żyje jeszcze w jakimś nieprawdopodobnym świecie, dla którego czas wstrzymał się w swej drodze, szeleści w swym salonie staromodną, jedwabną suknią i improwizuje jak za czasów Norwida, nieraz bardzo pięknie, zawsze bardzo dźwięcznie, stara jaśnie panna Jadwiga Łuszczewska, a Felicjan Faleński żłobi rylcem wielkiego artysty skręty i floresy swych olśniewających meadrów.

Nie można w tych czasach kłaść tablic pamiątkowych na domach w których zamieszkiwali wielcy Polacy, ale przecież i wtenczas, może bardziej wtenczas niż później, każdy wiedział, że w Pałacu Kazimierzowskim, w dawnej Szkole Rycerskiej, kształcił się Kościuszko, że na Elektoralnej mieszkał aplikant Komisji Skarbu — Juljusz Słowacki, że Mochnacki mieszkał akurat naprzeciw Lelewela na Długiej, koło Freta. Później Miriam zaczął tropić ślady Norwida, podwarszawskiego zresztą, grójeckiego panka, który z Warszawy wywiózł ową na całe życie miłosną tragedję i o Warszawie napisał swe aksamitne, hermetyczne wiersze «Na wieści z Warszawy» i «Fortepian Chopina». Pałac Krasińskich to był także pałac Zygmunta Krasińskiego, i Warszawa była miastem młodości Chopina, jakże bliskiego w swych listach owego arcywarszawskiego blagierskо-kpiącego tonu.

I oto idąc wstecz, aż do romantycznych czasów, ciągle widzimy, że Warszawa ma zawsze tę swoją proteuszową postać, że już wtedy jest zarazem Warszawą roztropnych klasyków, oczekujących aż «się przedmiot świeży jak figa ucukruje, jak tytuń uleży», i Warszawą gorącej młodzieży, Warszawą «Salonu warszawskiego» i Warszawą z «Kordjana», Warszawą z «Uspokojenia», przed którą w «Ofiarowaniu» z «Piasta Dantyszka» klęka Słowacki:

U nóg twych kładę: O! żałośna wdowo
Polskiego ludu! O! Matko w żałobie
Tych co śpią w krwawym pochowani gro-
[bie,
I tych — co wierzą, że wstaniesz na nowo;

O! ty gotowa twą krew Chrystusową
Rzucić na twarze wątpiące i blade,
WARSZAWO! Tę pieśń ci pod nogi kładę,
I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

Bo ja nie wierzę, żebyś ty się zlękła
Carskiego czoła i carskich rycerzy:
A gdy mówiono, żeś przed nim uklękła,
Tom był jak człowiek, gdy grom weń ude-
[rzy;

Potem schyliwszy czoło zamyślone,
Rzekłem: żeś klękła ty po tę koronę,
Co spadła z głowy, i u nóg ci leży.

I wtedy to także znad ostatniej zapory przed zalewającym cały kraj wrogiem, znad reduty Ordona, podnosi się głos wielkiej poezji, sławiącej pierwszeństwo Warszawy w ofierze, w męczeństwie, jej wolę ofiarowania się za cały naród, trwania do końca, już wtedy brzmi głos wstrząsający i jakimż dzisiaj przejmujący nas dreszczem:

Warszawa jedna twojej mocy się urąga.

I tak samo drugi poeta, równie Warszawie jak Mickiewicz daleki, wsłuchany w dźwięk Zygmunta i w podkrakowską muzykę, pierwszy odczuł i wypowiedział czar Łazienek, czar który jest zarazem melancholją pejzażu, ściskającem serce wspomnieniem historji i jakiemś misterjum rzeźbionych bogów i kolumn potrzaskanych. Dziś trudno już sobie zdać sprawę, czy zanim była napisana «Noc listopadowa» ktoś kto szedł jesienią wśród zeschłych liści w Łazienkach czuł owładanie nim tego czaru, czy też dopiero później zaczęliśmy zaludniać ten teatr duchami widzieć jak posągi schodzą ze swych cokołów, jak łączą się w pary i słyszeć już raz na zawsze pod dźwięk muzyki Marczewskiego, jak Kora z Eleusis przystanąwszy w alei, zwierza matce tajemnicę, która jest zawarta i w dzisiejszym losie Warszawy:

KORA
Z tajemnic moich, matko, znaj:
Jest inny tamten kraj,
kędy są wiecznotrwałe siły;
z tych coraz nowy rośnie pęd
i wzejdą i będą rodziły.
Tam wszelki żywot ma swój byt
i czeka, aż dlań błyśnie świt
i czeka, aż dlań przyjdzie czas:
zajaśnieć pełnią kras.

DEMETER
A te zwarzone, kędyż legną;
im-że w bartogu zimnym gnić...?

KORA
Umierać musi, co ma żyć...

To pewna, że jak Kraków jest wawelski i cała jego mitologja, cała poezja idzie od tych zamkowych murów, od Polski renesansowej, hetmańskiej, i że będzie tę poezję zawsze wabić tajemnica tego drugiego życia Wawelu, snu wielkich w narodzie pod jego posadzką — świątynią warszawskiej poezji, warszawskiego mitu są Łazienki.

I jeśli nawet Słowackiego wabiły sale Zamku o północy, jeśli tam szedł Kordjan wśród muzyki zjaw i przywidzeń — to tam do tego jesiennego parku, do białego pałacu jak z rokokowej bajki, pod ten pomnik jak z dekoracji w teatrze, przychodzą duchy ilekroć coś się staje, czy ma się stać, co wyrywa ich z niepamięci i patrząc na potrzaskane kolumny owego jedynego na świecie teatru, zdają się wznosić chór, który powtarza za Stanisławem Potockim: «Ojczyznaż to moja w złomie?»...

Wyspiański, który miał genjusz ujawniania mitów, domagających się poezji jak owe sześć postaci Pirandella oczekujących autora, dar trafiania jakby różdżką na owe ukryte źródła poezji — wyczuł też genjalną ową poezję czy mitologję powstania listopadowego i genjalnie rozplanował jej geografję. I w drugiem jego wieczystem dziele, — owej tragedji o antycznej lapidarności, zrodzonej ze skrzydlatego słowa pieśni, sławiącej wieczny poryw naszego miasta, — w «Warszawiance», jest też to malarskie i muzyczne utrafienie w listopadową poezję Warszawy i jej empirowego ducha, w jej dziedzictwo po cesarzu. I wszystko w tym obrazie jest poezją, wskrzeszeniem poezji tego czasu: empirowy styl mebli, empirowy patos i Chłopicki razporaz mówiący do posągu Cesarza, który jest niewidzialnym ale jednym z głównych aktorów sztuki.

Pomiędzy tą poezją listopadową a najnowszym czasem — stoi proza Żeromskiego, zrodzona z niewypowiedzianej przed nim grottgerowskiej melancholji 63-go roku, melancholji jesiennej szarugi i sosen na piaskach pod Warszawą. Ona to stała, jak nieodstępna towarzyszka na stokach szubienicy, ona patrzała na śmierć Montwiłła i Okrzei i na ich grobie posiała ową różę czerwoną, kwiat męczeństwa i zmartwychwstania.

Teatrem, na którym wtenczas grała się historja naszego narodu, nie były wspaniałe pola bitew, jego muzyką nie były fanfary i hymny, jego aktorzy nie mieli ani koturnów ani historycznych barwnych strojów. Teatr ten, to były poddasza, izby robotnicze, sale fabryk i sutereny, do których nigdy nie zaglądało słońce, po których ścianach ciekła woda, skazująca ich mieszkańców poprzez wszytkie pokolenia na suchotnicze życie i śmierć przedwczesną. Muzyką były wiersze Mickiewicza i Słowackiego, chowane po kieszeniach studenckich szyneli, czytane na ławkach zamiejskich ogrodów, owe wiersze, które wydzierają się z głębi zbuntowanego serca — w czasie lekcji w «Syzyfowych pracach», kiedy to w zapadłej nagle ciszy rozlega się cudowna polska strofa: «Nam strzelać nie kazano»...

Aktorzy tego teatru, to byli młodzieńcy bladzi i głodni, ale z wzrokiem pełnym ognia i poezji, którą tak pięknie oddawał drżący ołówek Antoniego Kamieńskiego, byli to robotnicy, wtedy i do dziś nieznani nawet z nazwiska, kryjący się przed obcymi i także często przed swoimi także, umierający z okrzykiem «Niech żyje Polska!», mającym za echo tylko plusk deszczu i szum Wisły, dochodzący do stóp ich szubienicy.

Tę Polskę, tę Warszawę, wzięła na swe skrzydła owa proza niebywała, której dzisiejsze nasze cierpienie wróciło znów moc przejmowania nas do głębi. Żeromski ze swego serca potężnego i nie znającego rozsądku wysnuł pieśń o ich męczeństwie, rapsod żałobny na ich pogrzeb, którego nie było, bo ich rzucano do dołów pod Cytadelą, i on to swem cudownem słowem niósł im wiarę, że ich krew nie pójdzie na marne, że na ich grób przyjdzie kiedyś lud wolny i zasadzi czerwoną różę.

Toteż powieść Żeromskiego i powieść Prusa są każda innym hołdem dla Warszawy — bo jeżeli Żeromski świadczy o owym podziemnym prądzie, który miał kiedyś stopić łańcuchy, o owych wulkanicznych siłach, drzemiących pod brukiem Warszawy — Prus świadczył obrazem jakże pełnego jej życia, że niewola była tylko faktem fizycznym, który nie dotykał duszy miasta i nie zdołał nic zdziałać przeciw żywotności Polaków i rozmachowi naszej kultury. Przecież gdybyśmy nie wiedzieli, że opowieść «Lalki» toczy się w czasach rosyjskiej niewoli — trudnoby się tego domyśleć, tak życie Warszawy w tej powieści jest pełne i prawdziwe, tyle jest w niem istotnych spraw, konfliktów, zagadnień, taka rozmaitość ludzi, żyjących pełnem życiem. Ta powieść, przez jakiś czas zacieniona przez wspaniały teatralny przepych Sienkiewicza i patos Żeromskiego, zaczęła w świetle nowego polskiego życia ukazywać swój wielki kontur, stawać się powoli uznanym przez wszystkich szczytem polskiej powieści, utworem najbliższym wielkich osiągnięć Zachodu. Nie badając wpływów ale porównywając, aby określić znaczenie «Lalki» dla naszej sztuki powieściowej, należałoby nazwać Prusa polskim Balzakiem, który pokusił się o odtworzenie całego warszawskiego życia, ludzi wszytkich warstw i temperanmentów, i polskim Dickensem, który umiał własnym odrębnym humorem prześwietlić dramat bohaterów i tym humorem służyć ludzkim uczuciom i szlachetnej myśli. Wreszcie, dziś, kiedyśmy poznali Conrada, nie moglibyśmy między jego bohaterami, niektóremi postaciami Żeromskiego a Wokulskim — nie znaleźć pokrewieństwa, pochodzenia od wspólnych i bodajże napewno polskich przodków. Jest bowiem w Wokulskim jakiś conradowski gust do spraw straconych, tak samo jak u Conrada tajemniczy w swych pobudkach jest ów kult kobiety, który łamał conradowskich ludzi, stawiających czoło najgroźniejszym burzom oceanów. Prus w «Lalce», w «Emancypantkach», najpełniej wypowiedział polską uczuciowość, umiarkowaną przez prawdziwą kulturę, ale wypowiedział tej uczuciowości szczególnie warszawskie odcienie. Nie jest trafem, że całe życie mieszkał w Warszawie, że nie chciał się z niej nie tylko spowodu swej choroby przestrzeni ruszać, że czuł się dobrze wśród warszawskich ważnych, a jeszcze bardziej wśród szarych ludzi. Łączył go bowiem z Warszawą przy tylu wspólnych troskach i sprawach, przy owem zadomowieniu w mieszkaniu na Hożej i w redakcji «Tygodnika», ów warszawski humor, któremu lektura Dickensa i wielka kultura dała wyższy polot, ale który pozostał jego najbardziej przyrodzonym sposobem porozumiewania się z czytelnikiem, z kolegami z redakcji i ze stróżami warszawskich kamienic. Ten humor, jakiekolwiek przybierałby odcienie, — od jowialności szlagonów wysadzonych z siodła aż do jadowitego sarkazmu, — był zawsze w Warszawie przedewszystkiem sztuką dla sztuki, był naturalną formą życia, stosunku do ludzi, i nie było też prawie naprawdę warszawskiego pisarza, któremuby Warszawa brak jego darowała. Czynił to jakiś gust przyrodzony, właściwy od kolebki warszawskim sprzedawcom gazet, czyniło owo bujne mimo niewoli życie Warszawy, życie pełne kontrastów, które są przecież klasycznem źródłem śmiechu, czynił też stały, na rozmaitych coprawda poziomach kontakt z Paryżem.

Szła do Warszawy paryska lekkość, blichtr i bulwarowa powierzchowność przez modne powieści, przez wzorowane na paryskich dostawcach sztuki, przez ciągłe wizyty Podfilipskich czy panów Łęckich z córkami w Paryżu i na Rivjerze, wizyty brzemienne w skutki dla wielkich warszawskich krawcowych i menu w restauracjach. Jednocześnie wszakże, ów humor warszawski, przyrodzony raźnemu mazowieckiemu klimatowi, polerował się skoro zetknął się z prawdziwym francuskim humorem, z jego wyższą formą, ze sceptycyzmem, kryjącym nieraz uczucia wstydzące się rozrzewniać, i w ten właśnie sposób zrodził się humor Perzyńskiego, nie zawsze równy i dbały, ale w najlepszych jego jak «Szczęście Frania» czy «Aszantka» komedjach i tak samo na niektórych stronicach jego powieści, zwłaszcza ostatnich, rozbłyskujący jasnem światłem prześwietlającego życie rozsądku, blaskiem wyższej inteligencji i głębokiego wyrozumienia.

Toteż Perzyński, który pisał dla zarobku feljetony nieraz bez wartości, dłużące się, choć pełne świetnych szczegółów powieści, sztuki, w których ambicja autorska słabła po pierwszym akcie — zostanie przecież w literaturze jako pisarz, który nie chcąc pouczać i nie stwarzając pięknych wzorów, pouczał przez sam uzdrawiający dar sztuki komicznej, przez dar ukazywania prawdy, nieodłączny od tej sztuki, zostanie wreszcie jako ten, który jeśli nie miał zawsze, to miewał w swem spojrzeniu na życie warszawskich drobnostrojów — głębokość autora «Paryżanki».

Niepodległość Polski przynosi dla Warszawy zmiany, polegające na tym paradoksie, że jednocześnie skupia się w niej wszystko: życie państwa, wielkie interesy, teatr, który wprost niszczy wyborny teatr Lwowa i Krakowa; do Warszawy też przenoszą się najlepsi profesorowie i pisarze, i zarazem to gorączkowe, rozmaite, naprawdę ważne życie, sprzeczność tylu ambicyj, bogactwo tylu typów rujnuje jakby architekturę życia warszawskiego, jego logikę, jego wewnętrzne prawo — życie Warszawy przestaje być warszawskie, staje się kotłem, w którym warzy się wszystko, co rzuca do Warszawy kraj cały, i do ostatnich lat bardzo mało staje się w Warszawie co ma piętno, styl nowej Warszawy. Powstają, oczywiście, doskonałe utwory w poezji i powieści, gra się niejedną dobrą sztukę polską, gra się świetnie i najczęściej aż w zbyt pięknych odwracających myśl od tekstu dekoracjach, czego jednak brakuje najczęściej tym wszystkim utworom i dokonaniom, to jakiegoś wspólnego, mimo różnic, stylu, jakiejś łączności z życiem Warszawy. Kiedy Żeromski pisał «Dzieje grzechu», Prus — «Lalkę», Weyssenhoff — «Podfilipskiego», czuło się pod temi utworami mocny grunt prawdziwego życia, gdy większość utworów nowej Polski zdawała się stać na lotnym piasku, niezdolnym utrzymać żadnej trwałej budowli.

Było to może zrozumiałe jako gotowanie się przyszłości, jako niezbędny stan przejściowy, z którego miał się wytopić nowy stop duchowy, nowy człowiek i nowe życie stolicy — ale narazie Warszawa, budowana bez planu, zapierająca się swej przeszłości, a niezdolna stworzyć wielkich dzisiejszych linij, coraz bardziej przytłaczająca swój regjonalizm pod niwelującą wszystko szarzyzną — odsunęła od siebie literaturę, która traci do niej serce, przestaje patrzeć na jej domy i ludzi i tracąc związek z miastem, traci go też i z życiem.

I wtedy to poczyna się owo odrodzenie, ów krótki, ale jakże bujny renesans Warszawy, który wytyczając wielkie linje jej budowie, nawiązując do jej przeszłości, powiększając miłość do niej jej mieszkańców, daje jej zarazem oddech wielkości, do której tak niedługo miała być wezwana.

W przeciągu paru lat Warszawa, żyjąca wtedy bez przeszłości, jakby nie wierząc że coś może dla niej się zmienić, jakby zrezygnowana by dusić się w bezmyślnie wytyczonych ulicach, szpetnych domach, gotowa zgodzić się że wzniesienie każdego gmachu musi trwać dziesiątki lat a postawienie pomnika jest wręcz niemożliwością — naraz poczuła że jest dziedziczką wszystkiego co w niej było piękne, że ma prawo być dumna z wielkich ludzi, którzy w jej murach mieszkali, z pięknych dzieł w nich powstałych, poczuła nowy rytm życia, w którem to co zamierzano dawniej na lata — stawało się w miesiącach, to o czem nie śmiano przedtem marzyć, burzenie szpetoty, stało się nagle, bez żadnych gawęd rzeczywistością, wszystko co zdawało się być nadatkiem do życia — piękno i wygody, pomniki i kwiaty, perspektywy i czyste powietrze — odzyskiwać poczęło prawo rzeczy niezbędnych. Spod szarości, bezmiłości i bezładu, zostają wydobyte piękne linje klasycznych warszawskich gmachów: naprzeciw oczyszczonego teatru Corazziego wyrasta minjaturowa uroda, jakżeż szlachetnego na zewnątrz i wewnątrz pałacu Blanka, plac Krasińskich, o którego piękności już zapomniano, ukazuje naraz niezwykłą harmonję swych pałaców, staje się wyjściem do nowych dzielnic, mającym ze starej i nowej Warszawy zrobić całość, nieodgrodzoną zaduchem i brudem. Z ponurego więzienia na Długiej odradza się naraz jeden z kształtów Warszawy najpiękniejszych — stary władysławowski Arsenał o podcieniach godnych Krakowa i Zamościa. I wreszcie odzyskuje Warszawa cudownie swoje jakby zagubione w historji papiery rodzinne, to czego nie miała w swych pamiątkach — jej średniowiecze wyłania się naraz ze zrębów starej fortecy, które uczenie i pięknie odtworzone wyrastają nagle w samym środku miasta, jak bajka, której tak było brak Warszawie. Przy tych murach stają, snują się przy pnących się po nich krzewach poeci od iluż lat nie zwykli, żeby z murów Warszawy spływało ku nim rozmarzenie; miłość do miasta, która ten kształt tak starożytny a tak tutaj nowy budzi — rodzi w tych poetach miłość, chęć aby stworzyć coś lepszego, coś pięknego, coby służyło innym. Na jakichś zapadliskach nadwiślańskich, jakżeż napozór niepotrzebny a jakże niezbędny by oko a za nim myśl biegły daleko, rozbłyska taflą wodną kanał łazienkowski, który na tym podmiejskim ugorze stwarza jakąś poussinowską klasyczną harmonję.

Nowym ulicom wytyczona jest szerokość nigdy dotąd w Warszawie nieznana, wobec której aleje Ujazdowskie, dawniej chluba miasta, zdają się być odrazu ciasne i małomiejskie; warszawianin zasiedziały w domu i ulubionej kawiarni, przywykły spotykać znajomych na trzech tylko ulicach, — Marszałkowskiej, Mazowieckiej i na Nowym Świecie, — jeśli go jakaś siła zmusza do wybrania się za miasto, nie poznaje cuchnących dawniej wjazdów przez rogatki, nie wierzy oczom, widząc że śmietnisko wolskie zniknęło nagle pod trawnikami i żwirem ślicznego parku, nie jest w stanie pojąć, jak z nędznego dawniej, w kałużach tonącego Grochowa zrobiło się naraz całe schludne o szerokich ulicach miasto, jak mogło na Kole wyrosnąć osiedle robotnicze, budzące podziw bywałych cudzoziemców. Kto wjeżdża teraz samochodem do Warszawy, nie tłucze się już po wybojach, nie ochlapuje go błoto wiecznie rozlanych ścieków, i wreszcie — niedościgłe zdawałoby się marzenie iluż urbanistów i utopistów! — w parę miesięcy powstaje najwspanialszy spacer, szeroki, wymyślnie wieczór oświetlony, przez całe wybrzeże biegnący bulwar nad Wisłą, który odrazu włącza do życia Warszawy tę piękną rzekę, tak od niego oddaloną dotąd przez nadbrzeżne wyboje, i odrazu pozwala szerzej odetchnąć i głębiej zamarzyć. Jakżeby cieszyli się owi marzyciele sprzed półwieku, z jakąż radością patrzałby Żeromski na szkoły powszechne, teraz mnożące się w każdej dzielnicy, na gmachy i pomoce naukowe, o których dawniej nie śniły zasobne średnie szkoły; młodzi chłopcy i dziewczęta z przejęciem i zachwytem patrzą w nowem Muzeum Narodowem na nieznane a zgromadzone tu piękności Michałowskiego, Gierymskich i Kotsisa.

Człowiek niepozorny, zdawałoby się — wzięty z tłumu krępych, krwistych, jasnowłosych Polaków, który tę odnowę ujął w ręce, wywalczył, prowadził, który wszystkie przed nim podjęte w Warszawie prace, wszystkie znoszone mu zapalone pomysły ześrodkował, uczynił pasją swego życia, który był sam przy tych wszystkich pracach, sam wszystkiego dozorował, sam zagrzewał, cieszył się każdym nowym domem, każdym ogrodem przy szkole, który miał na całe pokolenie planów, jak tę Warszawę wciąż rozszerzać, upiększać i przez to życie w niej czynić lepszem, bardziej ludzkiem — jest to ten sam człowiek, którego zmęczonego śmiertelnie ale nieugiętego głosu nasłuchiwał we wrześniu świat cały, wstrząśnięty do głębi, niezdolny pojąć jak ta Warszawa, coraz bardziej stająca się kupą rumowisk, niezdolna pod żelaznym deszczem grzebać swych dzieci, pewna że znikąd i od nikogo nie przyjdzie wybawienie — nie przestaje przecież wspaniałym, niepojętym uporem pisać na siebie wyroku śmierci, wyroku zagłady na skarby swej przeszłości, na swoje pałace i pomniki.

My, którzyśmy dotąd nie pojęli i choć wiemy o tem, nie wierzymy by to było naprawdę, że kiedy wrócimy do Warszawy, nie zobaczymy już na placu Zygmunta Zamku, na który patrzyliśmy od dzieciństwa, że jeśli nawet zastaniemy wypalony szkielet Teatru Wielkiego — nie doczekamy się za naszego życia by tam zaśpiewano «Straszny dwór» i «Halkę», że nie będzie śladu po ulicach, których brzydoty i pospolitości nie mogliśmy dostrzec, tylu one świadczyły naszym bólom i radościom — cóż możemy wiedzieć o tem, co przeżył prezydent Starzyński gdy w jego oczach to co zbudował, co stworzył, za jego wolą zapadało się w gruzy. Ale wiemy wszyscy, że historja Warszawy, złożona z ludzkiej, pełnej radości życia codzienności i wyróżniona tyle razy chwilami nadludzkiego poświęcenia i ofiary sięgnęła oto swego szczytu i że o tem co przeżył prezydent Starzyński będą pisali poeci, jak o znanej tylko starożytnym tragediom — granicy ludzkiego przeznaczenia.

JAN LECHOŃ.

RIBEIRO COUTO,
przełożyła
Kazimiera Iłłakowiczówna

LAMENT BISKUPA WYGNAŃCA

Wzięto moje parafje razem z wioskami memi,
chałupy wszystkich chłopów, z bydłem, ze zbożną ziemią,
szkoły mych dziatek — nato, aby się znęcać nad niemi.
Kościoły wzięto, zbożnych staruszek śpiewami ciepłe,
wody rzek moich, czarne od krwi przelanej i skrzepłe,
rzek mych, co serca mego krwią niechby ciekły!...
I jeszcze więcej krwi mej niechby zabrała woda,
byleby wróg tę ziemię, duszę mej duszy, oddał,
parafje moje ciche, wioski, których tak szkoda...
Dusze moje niewinne... Niebo moje nad niemi...

CHŁOPAK W SZPITALU

W zabawek środek sam upadła bomba... I nicem nie wi-
[dział więcej.
Przebudzenie. Ogień i dym. Krzyknąłem strachem zdjęty:
„Mamo, mamo!"... Nie przyszła... I wiem już teraz — dla-
[czego.
Nie przyszedł nikt... Biegłem przez płomień, byle jak, byle
[prędzej.
To był dzień imienin moich... Spaliły się wszystkie prezenty.
Szkoda... Dziś jestem tutaj. Państwo wiecie przecież — dla-
[czego.
O tatusiu nic niewiadomo. Może jest w dalekiej podróży
po lasach, konno, odważnie — sam, albo z przyjaciółmi —
i walczy zapamiętale... Wiecie zapewne — dlaczego?
Chciałbym prawdziwą broń mieć... I będę miał ją, gdy będę
[duży.
Będę walczył, jak ojciec mój, jak walczy zawsze żołnierz...
Nie zabawkę, lecz broń... Wiecie — przeciw komu... I wiecie
[— dlaczego.

Poświęcone Kazimierze Iłłakowiczównie.

RIBEIRO COUTO,
przełożyła
KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA.

ANTON VAN DUINKERKEN,
przełożyła
Kazimiera Iłłakowiczówna

POLSKA PIEŚŃ O BOŻEM NARODZENIU

Nie zezwól, Matko Boska, zejść Dzieciątku do nas:
niech zostanie u Ciebie. Stajenka spalona.
Niema wołu ni osła, owiec ni pastucha,
ani zorzy niebieskiej, okna dobrych duchów.
Niema nawet i wiary już, że Bóg zwycięży,
i miłosierdzia jego żaden król ni mędrzec
z gwiazd nie ściągnie, daremno niebo wzrokiem wiercąc...
Ni pieśń anielska żadna grozy nie odejmie sercom.
Na straży, Matko Boska, świętej nocy Twojej
nieprzyjacielski żołdak z karabinem stoi:
z bagnetu krew Młodzianków strząsa nad narodem
i w proch upadać każe przed Herodem.

ANTON VAN DUINKERKEN,
przełożyła
KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA.

Ribeiro Couto, poeta brazylijski, członek Akademji Brazylijskiej, sekretarz poselstwa brazylijskiego w Hadze. — Anton van Duinkerken, holenderski poeta katolicki, redaktor dziennika «De Tijd» oraz czasopism literackich «De Gemeenschap» i «De Nieuwe Gids».

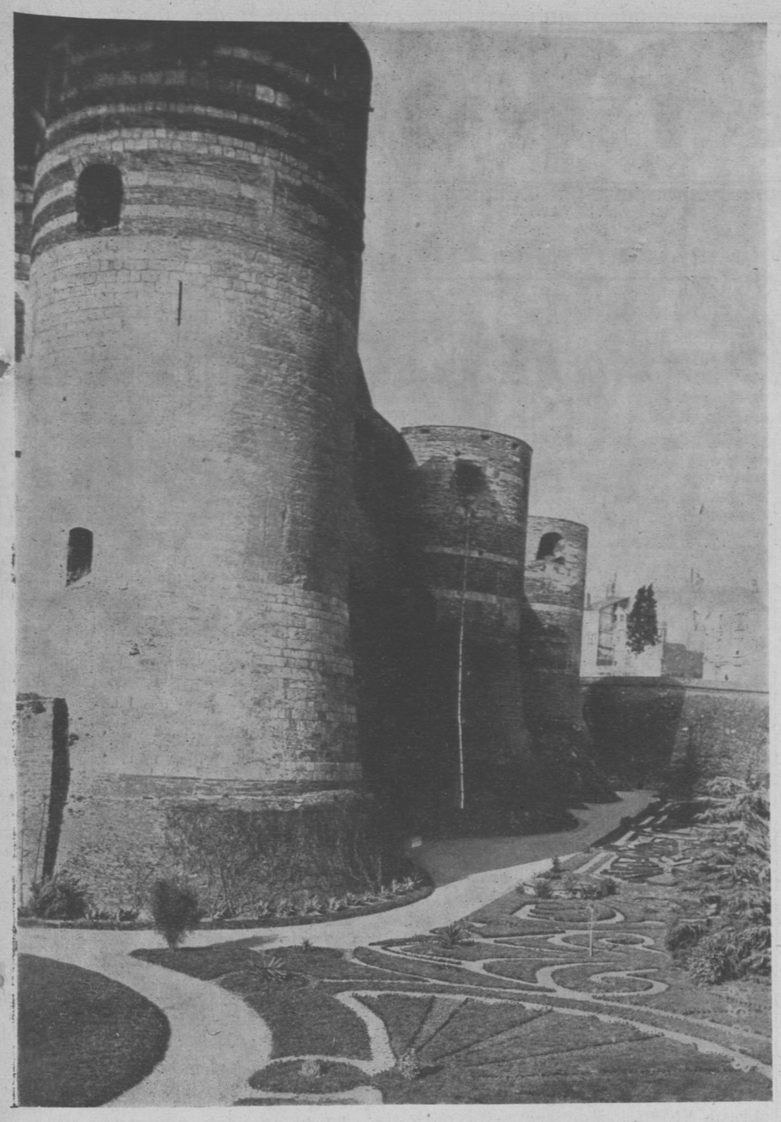

Zamek 070168

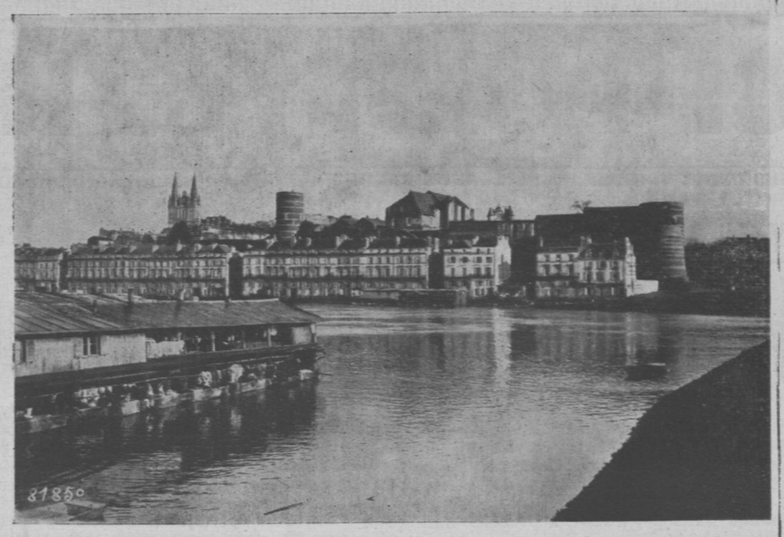

Widok ogólny 070169

HENRY COUTANT

ANGERS

STOLICA ANDEGAWENJI I POLSKI

Artykuł napisany specjalnie dla „Wiadomości Polskich"

Zdjęcia z agencji S. A. F. R. A.

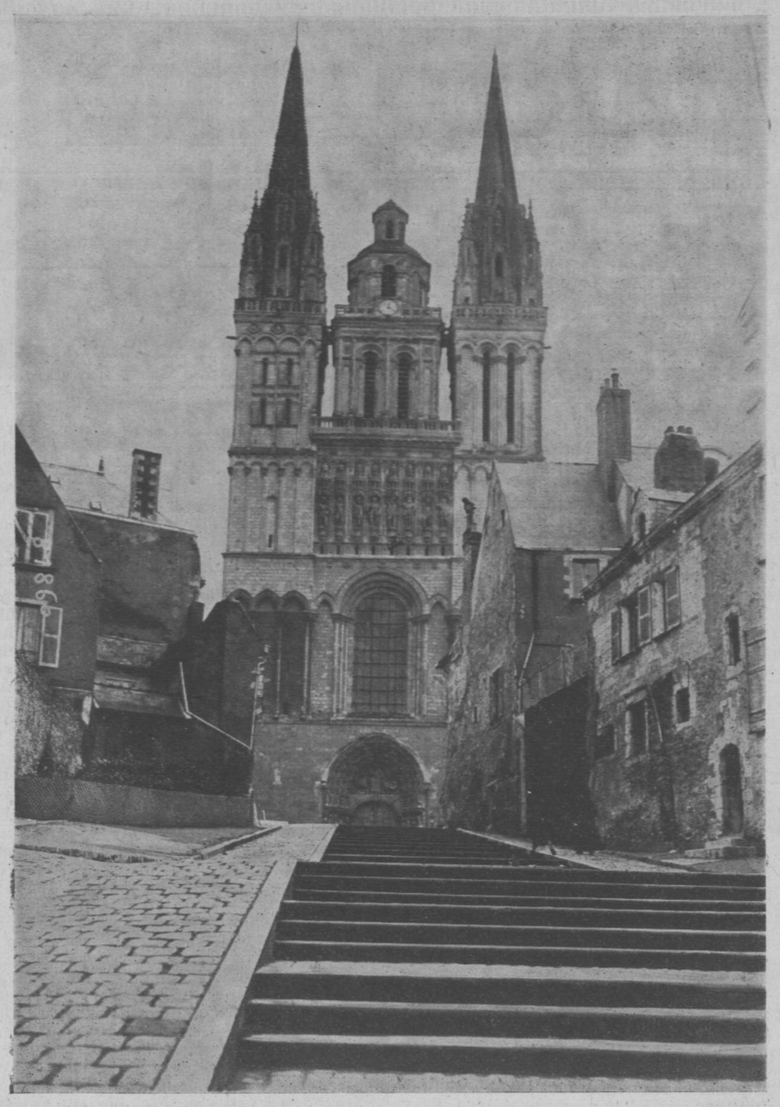

Katedra 070172

Angers, stolica jednej z najpiękniejszych prowincyj francuskich, Andegawenji (Anjou), jest dzisiaj również stołecznem miastem jednego z krajów Europy, który współcześni barbarzyńcy wygnali poza własne jego granice.

Miasto Angers, położone w okolicy pełnej harmonji i łagodności, jest bardziej od innych powołane do roli tak szlachetnej, mogąc ofiarować najwięcej elementów pokrzepienia wygnańcom potrzebującym pociechy, a równocześnie dając im najdokładniejsze pojęcie czem jest prowincjonalne miasto francuskie przywiązane do swej sławnej przeszłości, ale i pełne troski — choć bez przesady — o podołanie wymaganiom życia współczesnego.

Przedstawia się więc Angers pod dwojakim aspektem: z jednej strony wspaniałość jego historji, wypisana ozdobnością starych murów i rzeźb, różnorodna genjalność najsławniejszych jego synów, o której świadczą posągi i monumenty, z drugiej zaś czar i wytworność nowych dzielnic ciągnących się daleko poza wewnętrzne kręgi wielkich bulwarów, które opasują serce miasta, dzielnic o szerokich ulicach, obramowanych świetnemi pałacami i bujnemi ogrodami, w niekrępowanem swietle i wolnej przestrzeni, o charakterze radosnego zbytku i szczególnego uroku.

Wśród tych ogrodów jeden zwłaszcza, du Mail, jest w letniej porze prawdziwem czarodziejstwem. Dywany kwietne o najżywszych barwach tworzą mozaikę, ocienioną opiekuńczo przez wielkie drzewa, kwiaty głoszą zasłużoną chwałę Andegawenji, uznanej powszechnie królową francuskiej flory.

Stare miasto, nazywane «la Cité», wznosi się u brzegu jednej z dwóch przystani; między niemi przepływa z niedbałym spokojem urocza rzeka Maine, na którą składają się dwie skromniejsze rzeki Sarthe i Mayenne — i na którą wielka Loara czeka cierpliwie w oddali, za łąkami miejscowości Baumette, gdzie wciąż jeszcze żyje wspomnienie Rabelego.

Wąskiemi uliczkami i jednym z bulwarów, który powstał tuż przy starym pałacu «du Roi de Pologne», niestety, mocno uszkodzonym przez czas, Cité wstępuje pod górę aż do starego zamku. Jego masywna sylweta o siedemnastu wieżach góruje ponad głębokiemi i szerokiemi fosami, z których się jak gdyby wynurza. Monument ten jest potężny, a jego obronna siła zdumiewa tych, którzyby chcieli widzieć w Angers jedynie symbol łagodności i ludzkości andegaweńskiej. Przeciwnie, gigantyczna sylweta na tle okolicy pełnej ciszy i uroku wyraźnie zaznacza że tradycyjna słodycz Andegawenji nie wyłącza, w razie konieczności, objawów energji pełnej uporu i wytrzymałości, która tkwi w tym ludzie rozmiłowanym w niezawisłości i gotowym bronić jej przed każdym, ktoby na nią zamach uczynił.

Ta wielka zaleta Angers znajdzie z pewnością żywy oddźwięk w sercach naszych obecnych gości, przez okrutne przejścia nauczonych oceniać wartości tego rodzaju.

Ta energja i ta wytrzymałość Angers przysporzyła ongi Cezarowi gorzkich rozczarowań, o czem świadczy wobec historji posąg Dumnacusa, wznoszący się u bram Angers na jednym z mostów na Loarze. Podobnie i na innym planie, w dziedzinie sztuki, genjalny rzeźbiarz David d'Angers swoją twórczą siłą przeciwstawia się czułości tak rzewnej i wdzięcznej piewcy «Żalów» Joachima du Bellay, również Andegaweńczyka, co dowodzi wielu sprzecznych uczuć, pomieszanych w duszy tego kraju.

W każdym razie jest rzeczą pewną, że Andegaweńczyk przedewszystkiem czuje pociąg do dzieł subtelnych i łagodnych, dlatego charakter ten dominuje w ogólnych zarysach stolicy jak również w szczegółach jej rozlicznych piękności.

Poufne, stare uliczki Cité, których płątanina prowadzi aż do katedry, nie znają prawie innych objawów życia, niż przyciszony krok kanoników i osób nabożnych zdążających na msze lub nieszpory.

Katedra nie stara się imponować monumentalną architekturą, ale rzuca w niebo jak gdyby dwie strzały, pełne śmiałości, lecz przedewszystkiem lekkie i wdzięczne. Dawny pałac biskupi, oparty o nią, stał się dziś muzeum sztuki religijnej. Zbudowany w stylu dość ciężkim, ochrania on jeden z najwspanialszych zbiorów starodawnych tkanin ściennych, na temat Apokalipsy. Również i muzeum oraz bibljoteka t. zw. «Logis Barrault» zawierają niezrównane bogactwa, gdzie pierwsze miejsce należy się dziełom nieśmiertelnego Davida d'Angers. Wśród innych jego prac znajduje się tam serja medaljonów, na których uwiecznił on rysy najsławniejszych pisarzy i polityków polskich zeszłego wieku.

Ciekawe są również ruiny kościoła Wszystkich Świętych o przepysznej dekoracji koronek ażurowo wyciętych w niebiosach. Dom Adama, pałac Pincé, prawdziwy klejnot architektury renesansowej, i muzeum św. Jana, gdzie w ogromnej sali w najczystszym stylu Plantagenetów uwiecznieni zostali najróżniejsi świadkowie wieków minionych, a którego klasztorne mury są cudem wytworności i wdzięku dawnego budownictwa. Wiele jest jeszcze innych pomników wielkiej kultury Angers, z której słusznie może być dumny kraj andegaweński, jeden z najgodniejszych zwiedzenia, gdyż jak powiedział o nim Clemenceau, jest to zakątek «w którym Francja jest najbardziej Francją».

Wieczną troską Andegaweńczyków było zachowanie w pełni cech narodowych, i dzięki temu, gdy po wielu przewrotach i konwulsjach dziejowych Andegawenja stała się na wreszcie integralną częścią Francji, okazało się, że umiała utrzymać francuskiego ducha w tym stopniu, w jakim go iej przyznaje Clemenceau.

To zazdrosne o swój charakter odosobnienie pozwoliło jej oprzeć się wszelkim próbom inwazji, w czasie gdy dawna ziemia Andów była tylko konglomeratem plemion tubylczych — stawić czoło początkowo Rzymianom, następnie Bretonom, Normanom i Anglikom.

Potwierdziła wzrastającą swoją siłę w czasie panowania rodu Foulques'ów, gdy około X w. utworzyła odrębne hrabstwo, ośrodek potężnego feudalizmu, pod rządami Foulques'a V, którego syn poślubił spadkobierczynię Henryka I angielskiego (z czego początek dynastji Plantagenetów). Feudalny régime andegaweński zakończył się na Henryku II, który połączył pod swoją władzą Turyngję, Maine i Normandję aż po Akwitanję, przez małżeństwo swoje z Aljenorą akwitańską.

Gdy w w. XIII Anjou zostało przyłączone do królewskich domenów, książęta andegaweńscy, a w szczególności Karol, brat św. Ludwika, zgłaszać poczęli pełne pychy pretensje do włoskich królestw, ale masakra «nieszporów sycylijskich», w której blisko trzy tysiące Andegaweńczyków poniosło śmierć, rozwiała te chimeryczne nadzieje i żądze.

Jeden tylko król René (le bon Roi René) pozostał wiernie przywiązany do dobrej sławy swego kraju Anjou, a jego panowanie błyszczało od sukcesów wszelkiego rodzaju, prawdziwie andegaweńskich — szczególnie w dziedzinie literatury i sztuki — zanim i jego nie pociągnęła Prowancja i Sycylja.

Ale oto Ludwik XI, pod koniec w. XV, włącza ostatecznie księstwo andegaweńskie do korony francuskiej, a od tego dnia diukami d'Anjou stają się książęta krwi, obcy temu krajowi i dorzucający jedynie ten tytuł do wielu innych przysługujących im z urodzenia. Naprzykład Henryk III, syn Katarzyny Medycejskiej, który został królem polskim, Filip V, wnuk Ludwika XIV, założyciel dynastji hiszpańskiej, i wreszcie bliższy naszych czasów, hrabia Prowancji, brat Ludwika XVI.

Pośród tych wszystkich przemian Andegawenja byłaby z pewnością wiele straciła ze swej odrębności, gdyby jej uparta rasa nie stawiała oporu wszelkim obcym infiltracjom, gdyby nie obstawała przy swoim miejscowym stylu i kolorycie.

Stapiając się w jedność z Francją, nie traci ona żadnej z właściwych sobie cech intelektualnych czy moralnych i niewątpliwie godna jest pochwały człowieka, którego sąd schlebiający naszej dumie narodowej, z pietyzmem zachowujemy w pamięci — zasłużony hołd, oddany przez prawdziwego Francuza «najbardziej francuskiej z prowincyj francuskich».

HENRY COUTANT.

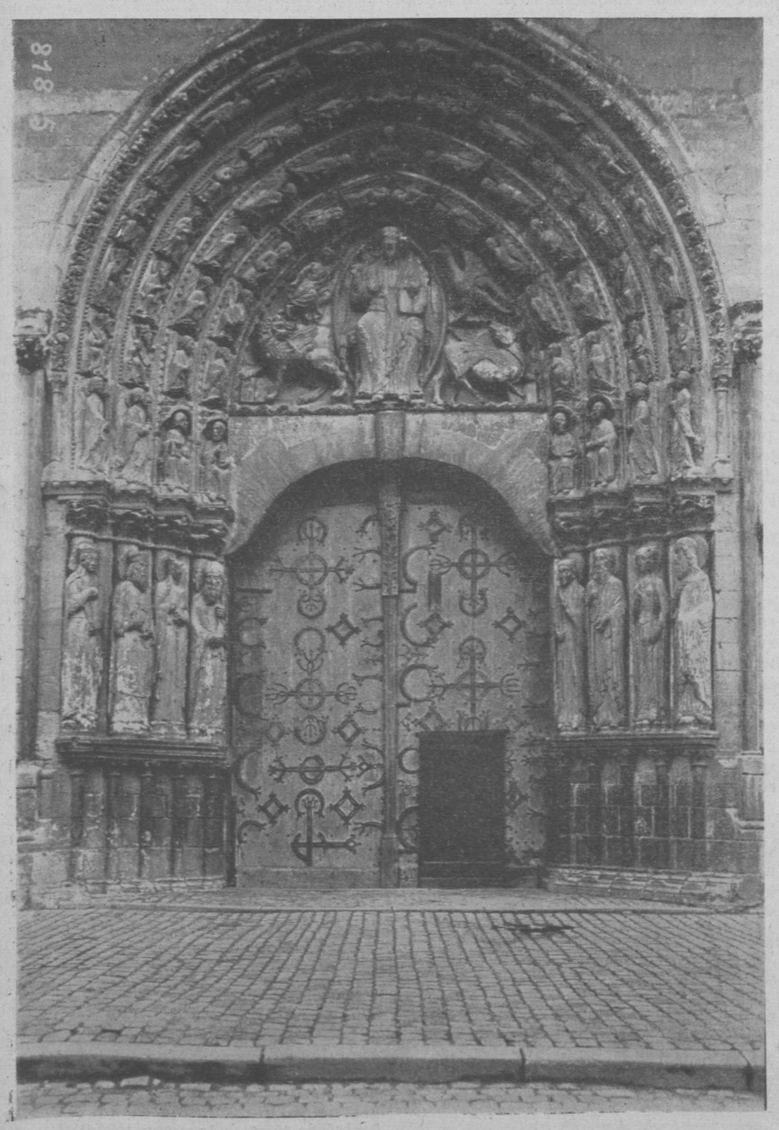

Portyk katedry 070171

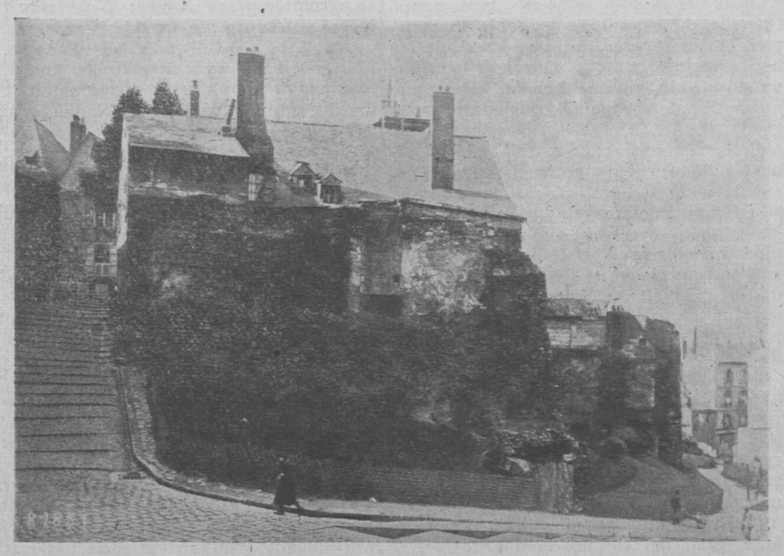

Stary dom z ogrodem 070170

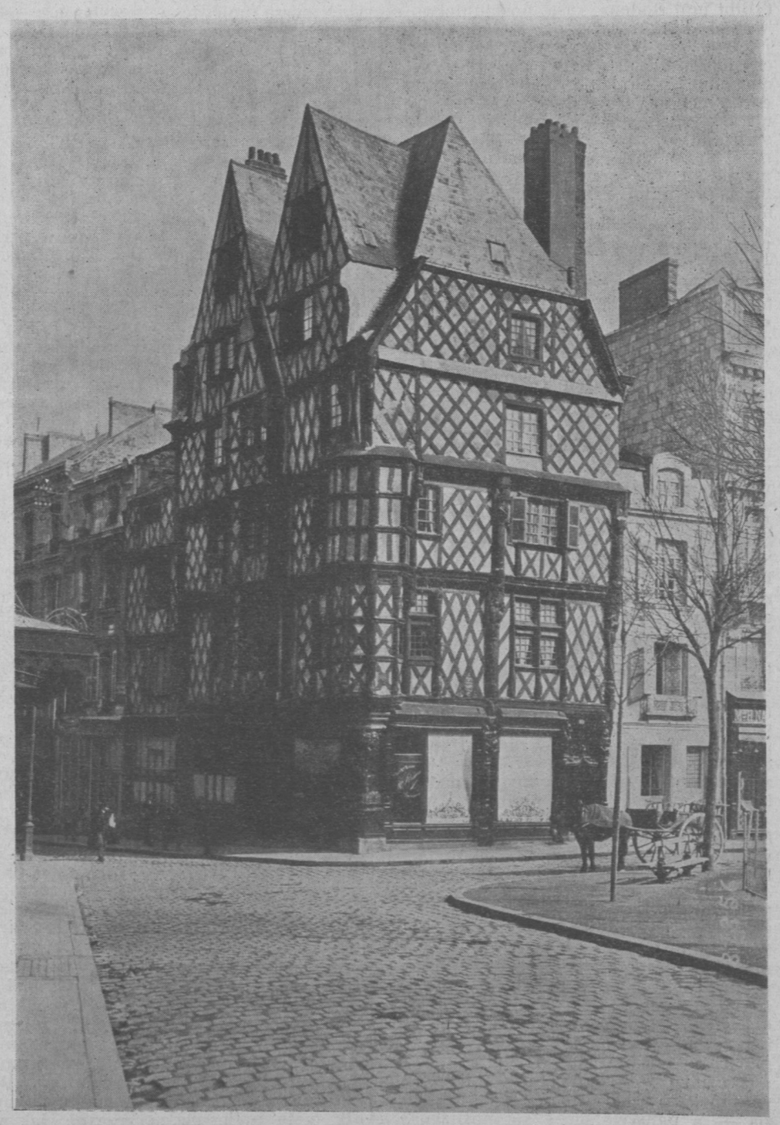

Stary dom 070167

AKTUALNOŚCI POLITYCZNE I WOJENNE

NADREALIZM W POLITYCE

W dobie zmotoryzowanej Apokalipsy

Do niedawna wydawało się nam, że Europa współczesna skręciła już ostatecznie kark nadrealizmowi, temu nieślubnemu dziecku Freuda i bergsonowskiego intuicjonizmu. Wszystko bowiem tak wyglądało, jakby ów prąd — najradykalniejszy w dziejach literatury bunt przeciw klasycznej koncepcji świata — został już bezpowrotnie złożony do lamusa rupieci obok charlestona, filmów z Mia May i uczesania à la chłopczyca, tych ostatnich pozostałości owej mezozoicznej już dziś epoki, która nastąpiła bezpośrednio po podpisaniu traktatu wersalskiego. Nadrealizm stanowił niegdyś jeden z rekwizytów dandyzmu, należał do savoir vivre'u. Zblazowany młody człowiek oświadczał, że jest nadrealistą takim samym tonem jakby mówił: «Uwielbiam grę w yo-yo» albo: «Jestem federastą». Jednak od dobrego dziesiątka lat odnosiliśmy wrażenie, że nadrealizm się przeżył. Zaśpiewaliśmy mu więc na grobie requiem, a na jego zabytkowych i nielicznych zwolenników spoglądaliśmy jak na sekciarzy, którzy na swych sekretnych i nieco zabawnych konwentyklach wymawiają z namaszczeniem rytualne, a pozbawione sensu zaklęcia. W naszych oczach gorliwcy ci mieli już charakter szczątkowy, niemal muzealny, coś w rodzaju czaszki człowieka z Neandertalu lub niezrozumiałego napisu w katakumbach. W ostatnich czasach nadrealizm bierze jednak odwet, odnosi wielkie «za grobem zwycięstwo». Gdzie? Na terenie napozór diametralnie przeciwnym. W polityce.

Kiedy przypatrujemy się znanemu filmowi wydarzeń, wydaje się nam, że paradoks Wilde'a «natura naśladuje sztukę» nie jest tylko błyskotliwą grą słów estety, ale genjalnem przeczuciem otaczającej nas rzeczywistości. Bo wniknijmy tylko bliżej w chwilę obecną. Dla toczącej się teraz wojny utarła się w języku francuskim — rojącym się od jędrnych skrótów myślowych — trafna nazwa «drôle de guerre». Stało się już niemal banałem podkreślanie że ostatnie siedem miesięcy obfituje w fakty absolutnie nieoczekiwane. Zamiast wojny totalnej na froncie zachodnim, wojny à la Wells, stalowej i gazowej, mamy wojnę à la Fenimore Cooper, wojnę traperów i łowieckich pułapek, patroli i zaczajeń, dającą zresztą pełne pole do popisu Francuzom, narodowi indywidualistów. Zamiast epicznej walki wręcz, mamy gigantofony na linji Maginota i deszcz ulotek nad Berlinem i Pragą. To już nie bój Patroklosa, ale słowne harce Tersytesa. Zamiast walki na śmierć i na życie między swastyką a młotem i sierpem, spoglądamy z osłupieniem na groteskową sielankę kalibanów, którzy dotąd rozmawiali ze sobą, wygrażając maczugą i z pianą na ustach. Zamiast uświęconego wiekami historji i wiadomego teatru działań wojennych, do niedawna najważniejszym terenem operacyj były okolice położone prawie pod kręgiem polarnym. Wszystko to niewątpliwie zbija z tropu rutynowanych czytelników gazet i kawiarnianych lisów politycznych. W przesuwającym się przed naszemi oczami kalejdoskopie tkwi nieprzeczuwana siła fatalna improwizacji, przyprawiająca o zawrót głowy domorosłych wygów i burzą ca jak domek z kart przepowiednie zawodowych stawiaczy prognostyków.

Twierdzenie, że od pewnego czasu nad polityką europejską zaciążył irracjonalizm, nie wydaje mi się być zbyt ryzykowne. Z chwilą bowiem gdy pierwiastki natury mistycznej stały się kamieniem węgielnym doktryny państw totalnych («Blut und Boden», rasa, posłannictwo rewolucji światowej), przesiąkanie metod i chwytów irracjonalnych w dziedzinę czystej polityki stało się rzeczą nieuchronną. Natchnienie zajęło miejsce opracowanego na długi dystans planu, intuicja wyrugowała skrupulatne badanie szans, a «rasa» i «klasa» — zmurszałą rację stanu. Owa racja stanu, o której rozpisują się tak szeroko podręczniki historji, przypomina nam teraz dawne, dobre czasy, rozrzewnia nas niemal jak stary oleodruk lub krynolina prababki. Racja stanu trąci myszką w epoce gdy polityka przeistacza się w mitologję, a umiejętna reżyserja formuje opinję publiczną oślepiającem światłem lamp łukowych i krwawą łuną flag powiewających w «Sportpalascie». Anachroniczną rację stanu zastąpiły dziś słowa dyszące gorącym oddechem, zziajane, cuchnące potem i dziegciem: pogrom, noc długich noży, rewolucja, «Heil Hitler», «Lebensraum», wobec których biedaczka przybiera postać nieszkodliwej i zramolałej staruszki. Gradowa chmura irracjonalizmu wisi obecnie nad Europą groźniej aniżeli w epoce wojen religijnych lub krucjat. Jakżeby mogło być inaczej w stuleciu, w którem Marinetti jest senatorem a epileptyczny twórca kiczów — kanclerzem. Polityka do niedawna była wiedzą ścisłą, jak algebra i poetyka. Od pewnego czasu stała się sztuką, jak alchemja i poezja. Rozsądek ustąpił miejsca instynktowi, a naukowy rachunek prawdopodobieństwa — bluffowi. Z jakąż niewysłowioną pogardą Metternich lub Pitt spojrzeliby na metody polityczne Europy z r. 1940, które ustroje totalne skaziły elementami wiecu i ochłokracji. Dyplomacja przeistacza się z partji szachów w zagadkowy rebus, w słynny poemat Mallarmégo o tak wielomówiącym tytule: «Le coup de dès abolira-t-il le hasard?». Bardziej aniżeli kiedykolwiek pierwszą zaletą współczesnego męża stanu musi być prorocza siła wyobraźni, niemal medjumistyczny dar przewidywania na daleką metę, wizjonerstwo, zdolność natychmiastowej riposty na sytuacje nowe i nieopublikowane w żadnym podręczniku dyplomatyki i strategji. Odpowiedzialny polityk musi być dzisiaj wyposażony w bystrość oka fechmistrza, który w ćwierć sekundy umie odparować cios, i w zimną krew cyrkowego wirtuoza żonglującego nożami. Jeden zły rzut — a nóż ugodzi w samo serce kobiety przywiązanej do deski. Jedna fałszywa decyzja — a państwo może się poślizgnąć i nie podnieść więcej.

Różnica między grą dyplomatyczną czasów minionych a czasów współczesnych rzuca się w oczy. Między dwiema metodami zieje taka przepaść jak między ciężkim dyliżansem, ciągnionym przez konie pocztowe, a mknącą prawie bezszelestnie limuzyną. Niemal fala ciepłego sentymentu ogarnia nas na wspomnienie tych dobrych czasów dyplomacji statecznej i statycznej, kiedy to decyzja ambasadora była rzeczywiście decyzją osobistą, niezależną od instrukcyj ministerjalnych, nadchodzących ze względu na zacofanie komunikacyjne po kilkunastu dniach lub tygodniach, kiedy to wojna była prywatną sprawą Króla Jegomości — toczyła się gdzieś daleko, niemal na obwodzie koła, przyczem prowadzili ją siepacze lub kondotjerzy, a nie cała ludność podpadająca pod obowiązek pospolitego ruszenia. Rozum polityczny Richelieugo i finezja Metternicha wydają się nam czemś dziwnie trzeźwem, prostem i statycznem w porównaniu z gorączkową, zawikłaną i dynamiczną dyplomacją współczesności. Koncepcja polityczna Pitta lub Palmerstona zbudowana była «more geometrico» niemal jak wizja świata u Spinozy. Koncepcja polityczna Hitlera przypomina raczej elastyczną wizję «wszechświata pulsującego», wprowadzoną świeżo do nauki przez Belga de Sittersa. Czemu należy przypisać tę fundamentalną różnicę? Przedewszystkiem znacznemu rozszerzeniu się amfiteatru politycznego świata. Za czasów Machiavela, Fryderyka II, a nawet Guizota, polityczne «orbis terrarum» obejmowało przedewszystkiem Europę, ów "przylądek Azji», jak mówi Valéry. Tylko Napoleon w genjalnym przebłysku intuicji zrozumiał znaczenie drogi do Indyj i przedsięwziął wyprawę na Egipt. Za czasów kardynałów Mazariniego lub Alberoniego nikomu nie śniło się ani o Gibraltarze, ani o Singapore, nikt nie troszczył się o stanowisko nieistniejących Stanów Zjednoczonych lub o postawę Japonji. Franciszek I łączył się wprawdzie przeciw domowi austrjackiemu z Solimanem Wspaniałym, ale nie interesował się opinją mikada. Obecnie elementy całości zahaczają się ze sobą coraz bardziej, są bardziej zazębione, liczniejsze i skomplikowane. A gdzie występuje komplikacja, tam pozostaje coraz mniej pola dla ujmowania mechanistycznego, a coraz więcej dla nieprzewidzianego, dla natchnienia. Bergson w «Ewolucji twórczej» podkreślił, z niezwykłem wyrafinowaniem myśli owo prawo proporcjonalnego wzrostu między komplikacją a indeterminizmem. Młody biolog francuski, Jean Rostand, w swej świetnej książce, która niedawno ukazała się na rynku księgarskim («Les pensées d'un biologiste»), obala również niesłuszne a rozpowszechnione przeświadczenie o rzekomej stałości praw dziedziczności i stwierdza, że natura lubuje się w kapryśnych skokach i dziwactwach. Zdaje się, że regułę «natura non facit saltum» trzeba już ostatecznie złożyć do archiwum.

Zatrzymując się jednak w tem miejscu, nasza analiza różnic między dyplomacją starą i nową byłaby jednak niepełna. Różnice te należy bowiem przynisać i innej przyczynie, a mianowicie świadomemu wprowadzeniu przez dyktatorów do polityki elementów iracjonalnych, które pozwoliły wydźwignąć im się do władzy. Wzniecwszy w masach przeświadczenie o swej niezwykłości, wytworzywszy w nich atmosferę seansu spirytystycznego, dyktator musi być olśniewający i pomysłowy, musi masy fascynować i kontynuować swą mitologję. «Légende oblige»... Dyplomacja jaką się posługuje, wojna jaką prowadzi, muszą polegać na zerwaniu z metodami uświęconemi, na kinowem zaskoczeniu, na błyskotliwym efekcie, na girlandach ogni sztucznych. Otwórzmy nawias i zapytajmy, czy poezja nie jest również olśniewającym fajerwerkiem? Jeden z dyktatorów europejskich wypowiedział sentencję nieomylnie charakteryzującą stan duszy każdego samodzierżcy, konkwistadora i poety: «Należy nauczyć się żyć niebezpiecznie». Czyż nie przypomina to pełnej estetyzmu postawy Gide'a z «Nourritures terrestres», w których mówi: «Natanaelu, nauczę cię pasji»... Filozoficznym odpowiednikiem tego stanowiska jest znana teza Schopenhauera: «Życie szczęśliwe jest rzeczą niemożliwą. Co człowiek może urzeczywistnić najpiękniejszego, to byt heroiczny». Poetycznym wykładnikiem tego arcynietzscheańskiego punktu widzenia jest nadrealizm, to jest skok w stratosferę niespodziewanego, pochód nieskontrolowanej lawiny natchnienia.

Oto znajdujemy się u źródeł obecnego nadrealizmu politycznego, rozgardjaszu metod, ciuciubabki pojęć nieprzystających jak dwa trójkąty o różnej powierzchni. Pascal, który posiadał tajemnicę zamykania głębokich myśli w lapidarnych skrótach, powiedział: «Le cœur a ses raisons, que la raison ne connaît pas». Podstawmy zamiast słowa «le cœur» słowo «la politique», a otrzymamy kapitalną formułę. Bo rzeczywiście polityka współczesna ma swe niedocieczone racje, niezbadane jeszcze prawa ciążenia, specyficzną geometrję świat nieznanych wymiarów, zrywający z dawnym automatyzmem nałogów i tradycyj, a czyniący z niej dziedzinę pokrewną sztuce. A sztuka, to kwestja przecinków, półtonów i niedopowiedzeń, odcieni i modulacyj. Kiedyś, gdy zapytano Bergsona, w jaki sposób pisze swe dzieła, odpowiedział: «Nigdy nie wiem zgóry jak zbuduję zdanie, natomiast odczuwam z całą dokładnością gdzie postawię przecinki». Polityk współczesny, osaczony skomplikowaną mozaiką, złożoną z tysiąca odcinków i odprysków rzeczywistości, z niezliczonych faktów i danych, poruszający się w dżungli nieprzewidzianych czynników, wyrastających nagle spod ziemi jak «deus ex machina» w teatrze greckim, odchodzi coraz częściej od utartej teorji, od biurokratyzmu myślowego, a musi iść za swym twórczym instynktem, musi wypadkom narzucić rytm, musi uchwycić ich tempo i dostosować je do swych zamierzeń. Polityczny przecinek lub dyplomatyczny myślnik, nota umieszczona zręcznie jak wykrzyknik lub zawierająca celowe niedopowiedzenie jak następujące po sobie trzy kropki, znaczą w stosunkach międzynarodowych tyle, a może nawet więcej, co fabryka amunicji lub obóz koncentracyjny dla defetystów. Kwestji znaków przestankowych i tempa w polityce nie poświęcono dotąd należytej uwagi, a przecież umiejętna gradacja tempa odgrywa w polityce równie poważną rolę, co takt w muzyce, rytm wiersza w poemacie i rytm serca w organizmie ludzkim. Dyplomata współczesny przypomina doskonałego mówcę, którego głos to biczuje słuchacza w crescendo słów urywanych i schrypłych, to znów opada i kona w wymownej pauzie. «Ecoutez ses silences!» — powiedział Jaurès o Briandzie. Opinja francusko-angielska nie ukrywa zresztą, że dyplomacja narodowo-socjalistyczna zawdzięcza większość swych sukcesów owej umiejętności narzucania wypadkom rytmu odpowiadającego jej celom. Pakt sowiecko-niemiecki, ogłoszony w chwili najwyższego napięcia, rzucony na stół jak karta, którą szuler trzyma w zanadrzu do ostatniej chwili, trzy fałszywe alarmy najazdu na Belgję i Holandję, zlikwidowanie wojny w Finlandji, stworzenie psychozy niepewności co do terenu przyszłego uderzenia, to bez wątpienia posunięcia wykazujące, że Hitler umie naciskać pedały fortepianu politycznego i docenia element niespodzianki i zaskoczenia. Najpoważniejsi publicyści francusko-angielscy zdają sobie z tego sprawę i bynajmniej nie chowają głowy w piasek, oświadczając równocześnie, że dyplomacja sprzymierzonych prędzej czy później zerwie z dawną rutyną statyczną i weźmie inicjatywę w swe ręce. A «wzięcie inicjatywy», przetłumaczone z żargonu polityki na język sztuki, nie oznacza nic innego niż nadanie wypadkom takiego biegu, jakiego domaga się wola twórcy: Boga, demiurga lub poety. Można być pewnym, że właśnie na terenie natchnienia i intuicji, który Hitler uważał za swą niepodzielną dziedzinę, narodowy socjalizm poniesie klęskę. Francuzi, z właściwym im darem improwizacji, skorygowanym przez trzeźwy empiryzm Anglików, pobiją na głowę Niemców w tej dziedzinie. Talleyrand, ów arcyfrancuz, postawił wprawdzie jako zasadę działania politycznego regułę «pas de zèle», ale nigdy nie zalecał: «pas d'imagination». W obecnej wojnie genjusz rasy francuskiej dojdzie prędzej czy później do głosu. Ani blokada, ani system fortyfikacyjny, ani potencjał przemysłowy nie będą — mimo wszystko — czynnikiem decydującym w toczących się zapasach. Wygra ją niezniszczalny genjusz Francji, genjusz tego narodu, który praktyczną rzutkość umysłu La Fontaine'a i jasność Descartes'a połączył z matematycznym polotem i mistyczną głębią Pascala.

JULJUSZ GROT.

GŁOSY ŚWIATA

ROBERT i BERTRAND

Mnożą się w światowem piśmiennictwie politycznem rozważania analityczne roli, którą Rosja odegrać może dla Niemiec jako coś w rodzaju tarana do rozbijania muru blokady sprzymierzonych. Szczególnie po zawarciu pokoju z Finlandją zagadnienie to stało się bardziej bezpośrednio interesujące, dopóki bowiem wojska sowieckie same zużywały niemal wszystko co się z Rosji na cele wojenne wydobyć udało, a przynajmniej wszystko co się dało przewieźć — dopóty niemieckie plany eksploatacyjne wobec Rosji nie były bardzo aktualne.

Jean Mistler, przewodniczący komisji spraw zagranicznych francuskiej izby deputowanych, a więc osoba, której głos już choćby z tytułu zajmowanego stanowiska zasługuje na uwagę, konstruuje przed oczami przerażonego czytelnika «Revue de Paris» wręcz fantastyczne równanie matematyczno-polityczne. Uważa on mianowicie, że znaczenie Rosji jest tak wielkie, iż można zaryzykować twierdzenie: — czas potrzebny dla sprzymierzonych na wyrównanie braków w uzbrojeniu i dogonieniu Niemiec w tej dziedzinie zużyją Niemcy na uporządkowanie, zorganizowanie i przygotowanie do pełnej eksploatacji bogactw rosyjskich. Postawienie tego znaku równania doprowadza deputowanego Mistlera aż do powątpiewania o celowości blokady wogóle. «Cóż daje blokada, — pisze on, — jeżeli wzdłuż norweskich wód terytorjalnych płynie do Niemiec ruda żelazna, a po morzu Czarnem, w kierunku Dunaju, statki sowieckie i niemieckie wiozą bez przerwy ropę naftową, która spływa do Batumu rurociągami ze źródeł kaukaskich». Ten z dużym pesymizmem namalowany obraz skłania Mistlera do wysnucia wniosku, że wojna nie rozegra się na froncie morsko-blokadowym i że napewno w ciągu r. 1940 «dojdzie do wojny prawdziwej».

Jeżeli Mistler celowo przesadził swoje wątpliwości na temat skuteczności blokady, dlatego ażeby usprawiedliwić bezsprzecznie nieodzowną konieczność «prawdziwej wojny» — zgoda! Jeżeli jednak sądzi, że nie przesadza w tym względzie — to raczej się myli. Na wodach bowiem norweskich są już łodzie podwodne i okręty brvtvjskie, a więc ruda n przyszłość do pieców «Hermann-Göring-Werke» płynąć nie będzie, a co do rosyjskiej nafty, i to w marzonych, nieograniczonych ilościach, zapatrywania są właśnie bardzo różne.

Nie ulega wątpliwości, że w chwili gdy Hitler zdecydował się na podpisanie paktu ze Stalinem, tryumf odniosła odwieczna wojskowa teorja niemiecka, dokładniej — pruska, głosząca zgubność dla Niemiec walki na dwa fronty i konieczność zapewnienia sobie pomocy Rosji w celu skonstruowania bezbłędnie działającej machiny wojenno-gospodarczej. Przesłanki gospodarcze grały w decyzji Hitlera rolę większą, niż wojskowe, albowiem sztab niemiecki nie przeceniał siły wojsk sowieckich. Dodajmy w nawiasie, że w podobny sposób oceniał wartość armji sowieckiej sztab polski, w przeciwieństwie do opinji sztabów zachodnio-europejskich. To co armja sowiecka pokazała w Finlandji, nazwał Zbigniew Grabowski w nr. 3 «Wiadomości Polskich» — nader trafnie — «pośmiertnem zwycięstwem polityki polskiej».

Nie istnieją więc w Niemczech tendencje uczynienia z Rosji prawdziwego sojusznika w ścisłym sensie tego słowa. Kierownictwo armji niemieckiej nie myśli o tem, aby się czerwona armja miała znaleźć na polach bitew obok armji, ozdobionej swastyką. Takiego braterstwa broni nie życzą sobie pruskie żywioły wojskowe, które stoją za kulisami porozumienia Roberta z Bertrandem. Trzeba przecież pamiętać, że w pierwszym okresie zbliżenia rosyjsko - sowieckiego, weimarsko-trockistowskim, tendencje eksploatacyjne były równie wyraźne, jak są w okresie obecnym, hitlerowsko-stalinowskim. I wówczas — jak dziś — za traktatem w Rapallo i jego kontynuacją, t. zw. traktatem berlińskim, stała «Reichswehra». Kiedy komisje kontrolne sprzymierzonych pilnowały jeszcze, by się w Niemczech nie uczono latać na aparatach wojskowych — «Junkersy» oblatywano gdzieś pod Smoleńskiem. A rola Niemców w okresie NEP'u, a niemieccy «spece» w sowieckim przemyśle?

Właściwe intencje niemieckie wobec Rosji, to właśnie intencję kolonizatora i te są odwieczne. Najznakomitszy z niemieckich znawców Rosji, wielki «spec» wojskowo-gospodarczy, płk. von Niedermayer, w najbardziej oficjalnym, bo przez sztab Reichswehry wydawanym przeglądzie «Militärwissenschaftliche Rundschau» odsłania je wszystkie. Stwierdza więc najprzód, że «zbliżenie niemiecko-rosyjskie nie jest zjawiskiem przemijającem, ale objawem stałych i podstawowych tendencyj organicznych o znaczeniu historycznem». Organicznych dlatego, że «rosyjski organizm gospodarczy jest uzupełnieniem organizmu niemieckiego». A stąd już prosty wniosek, że trzeba Rosję opanować — zbrojnie lub gospodarczo. Zbrojnie — tego chciał Göring, feldmarszałek coprawda, ale nie sztabowego, pruskiego chowu. Ludzie, których wykładnikiem jest płk. von Niedermayer, widzą pole chwały i zdobyczy gdzieindziej — na Zachodzie, a Rosję zdobywać wolą metodą kolonjalną.

Nie inaczej właśnie, niż kolonjalną. Płk. von Niedermayer skrzętnie rozważa i sumuje możliwości Rosji.

Wskazuje na braki sowieckiego kole wa i żeglugi rzecznej, stwierdza że kolejowy w latach ostatnich zwięk bez potrzebnego uzupełnienia taboru, nictwo zostało zmotoryzowane, tra są wszędzie, ale to właśnie stało si bą stroną gospodarstwa sowieckiego traktorom tym wiecznie brak ben której nie zdąży dostarczyć rozklek system komunikacyjny.

Równie krytycznie ustosunkowuj płk. von Niedermayer do kierownictw wiekiego, po którem nie spodz się niczego dobrego, a już najmniej by stanęło na wysokości trudnego nia i sprostać potrafiło wojennym, s gólnie wygórowanym, potrzebom nier kim. Pisze więc, że biurokracja roz się w Rosji ponad wszelką miarę, że aż 39 centralnych komisarjatów (m terstw), że jeden przeszkadza drugie że w rezultacie przemysł i administ są w stanie takiej samej dezorgani jak rolnictwo, komunikacja i transp

Dalej stwierdza płk. von Niederm poważne i nader istotne właśnie z pu widzenia gospodarki wojennej luki w syjskich zasobach surowcowych. Te uwagi wydają się być szczególnie wa skoro powszechnie utarło się przekon że «Rosja ma wszystko». Otóż eks niemiecki z żalem zauważa, że Rosja krywa zaledwie 1/3 własnego zapot bowania miedzi, 1/3 — ołowiu, nie połowę — niklu, zaledwie 1/4 — cyny

Nakreśliwszy ten niezbyt pochle portret Rosji, rozwodzi się niemi ekspert sztabowo-gospodarczy nad po cjalnemi możliwościami gospodarstwa syjskiego, głównie rolniczego i górni go, poczem przedstawia tę właśnie ku nacyjną receptę na dobranie się do s bów: «Energja Rosji jest osłabiona, możliwości jej są olbrzymie, pod wa kiem iż podda się pomocy niemiecki Niemcy i Rosja, zjednoczone — są zwyciężone, lecz pod warunkiem, że rownictwo obejmie niemiecki talent ganizacyjny, a Rosja stanie się mag nem sił materjalnych i roboczych». w tej recepcie wszystko, o czem od dw co najmniej wieków marzy pruska i zdobywcza.

Fakt, iż w tak wyraźny sposób prze wia oficer wysokiej rangi i wielkich k lifikacyj ze szpalt urzędowego czasopis dowodzi że pruskie przekonanie o mo wości użycia całych narodów za nav dla rozrostu wspaniałej rasy niemieck żyje w planach techniczno-podbojowy Trwałość tego przekonania w stosunku Rosji jest niezmiernie istotna dla zro mienia wszystkiego co się stało na pr strzeni ostatniego roku. Wbrew temu usiłują wmówić na Zachodzie wielbic le Hitlera, chwilowo z nim pokłóceni, ród niemiecki idzie za nim, i to dlate że go rozumie. Nieprawdą jest, że nar niemiecki nie zrozumiał i nie przebac Hitlerowi wolty, jaką uczynił w stosun do Rosji, bolszewizmu i Stalina. Nar niemiecki zrozumiał doskonale o co a dzi, a płk. von Niedermayer przełożył na niemiecki język gospodarczy. Choć o skolonizowanie Rosji, i dla takiego ce warto poniechać papierka z napise «pakt antykominternowski».

Nie można jednak uznać niemieckie zdolności psychologicznych. Jest to ni miecka wada narodowa. Nie zdają sob nigdy sprawy z tego, że zamierzając zb wiele, narażają się na kompletne fiasc

W planach niemieckich leży w tej chwi całkowite opanowanie Rosji, skolonizow nie jej i użycie tubylców do wydobyw nia własnych skarbów na rachunek i żytek kolonizatora. Tak ocenia zamiar niemieckie «Times» i rozważywszy wszechstronnie, dochodzi do wniosków akurat odwrotnych, aniżeli te, które wy snuł Mistler. Organ londyńskiej City d je dowód, że myśli, które wyrażą, rodz się w głowach prawdziwych kolonizato rów, potomków i dziedziców doświadcze nia Cooków i Wakelfieldów. «Zamierzo na dominacja gospodarcza Niemiec na Rosją jest nie do przeprowadzenia, — pi sze «Times», — bo w kalkulacji nie wzię to pod uwagę przesłanek psychologicz nych. Jest to błąd, który Niemcy popeł niali zawsze i którego nie potrafią się po zbyć. Opanowanie Rosji przez pruską or ganizację eksploatatorską było i pozosta nie marzeniem, dlatego że naród rosyjski biernie i czynnie sprzeciwia się jej zaw sze i niezmiennie. Jest ona przeciwna naturze narodów, zamieszkujących Rosję, i już od czasów Piotra Wielkiego i jego następców można się było o tem przekonać. Im ostrzej będą narzucane pruskie zamiary kolonizacyjne, tem prędzej skończą się zatargiem z Rosją. Rosjanie wi dzą, że Niemcy spoglądają na nich z góry jak na rasę niższą, jak na siłę roboczą tylko, i ta świadomość czyni ich opornymi wobec zamiarów pruskich. Odpór rosyjski zwiększa się w miarę jak rośnie nacisk, i na to pakty podpisywane przez Stalina nie pomogą. Kolonizacja Rosji przez Niemców wydaje się właśnie z tych przyczyn niewykonalna».

Trudno jest rozstrzygnąć, kto ma słuszność. Fachowo-kolonizatorska, chłodna ocena «Times»a przemawia wszakże do przekonania znacznie silniej, aniżeli skażona emocją wróżba Mistlera. Może pozatem deputowany francuski ciągle jest jeszcze pod wpływem tego wręcz hipnotycznego uroku, jaki na niektóre koła polityczne zachodnioeuropejskie wywierała do wyżyn mitu podnoszona potęga Rosji.

Jak dotąd jednak — potęga ta wyraziła się znacznie bardziej w zdolności wywożenia na Zachód idej, aniżeli surowców. Wie o tem dobrze Francja, pozbawiająca mandatów deputowanych komunistycznych, i... zaczynają się o tem przekonywać Niemcy, bo oto dr. Ley, hitlerowiec z krwi i kości, już pisze w goebbelsowskim «Angriff»ie: *«Proletarjusze wszystkich krajów łączcie się* — w walce z kapitalistami Wielkiej Brytanji i Francji!».

Wyścig się zaczął. Nie jak chce Mistler pomiędzy sprzymierzonymi i Niemcami, ale pomiędzy Robertem i Bertrandem: — co prędzej przesiąknie do Niemiec z Rosji — nafta i rudy, czy idea? Bodaj, że w tem właśnie tkwi sedno zagadnienia.

OBSERVER.

ROZMOWY O WOJNIE

DZIAŁANIA NA MORZU

Neutralni są zdania, że Hitler prędzej czy później musi powrócić do koncepcji uderzenia przez Belgję lub Holandję. Jeżeli z drugiej strony weźmie się pod uwagę liczne polemiki rozmaitych pułkowników (przeważnie w stanie spoczynku) na łamach prasy angielskiej na temat, jak się wojna rozwinie, można dojść do wniosku, że większość opinji angielskiej jest tego samego zdania.

«Gazette de Bruxelles» w jednym z ostatnich numerów podaje następujące możliwe hipotezy działań Hitlera: pierwsza, to uderzenie na linję Maginota wszystkiemi siłami, druga, to przejście przez Belgję dla obejścia skrzydła francuskiego od północy, wreszcie trzecia, to zwrócenie wszelkich sił w kierunku Holandji lub Belgji, opanowanie tych dwóch krajów, osłona na linji Zygfryda, forsowanie uderzenia na Anglję choćby drogą morską.

Jest rzeczą charakterystyczną, że wszystkie głosy prasy, narówni z głosami opinij publicznych, mówią tylko i wyłącznie o inicjatywie Hitlera, milczą natomiast o inicjatywie sprzymierzonych. Tymczasem — spokojny dotychczas i zrównoważony duch narodu angielskiego został jednak mocno ruszony ze swej wspaniałej równowagi. Anglicy mają dosyć ulotek, podobnie jak wdzięcznej zresztą pracy fotograficznej z samolotów. Rzeczywiście, stwierdzić należy, że zarówno Anglicy jak i Niemcy zdołali sfotografować nawzajem wszystko co tylko było do sfotografowania. Obecnie dublowanie zdjęć objektów stałych można uważać za przedsięwzięcie nie bardzo celowe. Stały nadzór fotograficzny stosuje się tylko na froncie, gdzie zmiany w terenie następują codziennie, przez każdą noc. Ze względu na znakomicie technicznie opanowane maskowanie — odkryć się dadzą jedynie przez studjum i porównywanie fotografij. «Odczytywanie» takich zdjęć lotniczych, to dział niezwykle trudny, wymagający długoletnich studjów i specjalnych zdolności. Jednak nawet cotygodniowe zdjęcia Tempelhofu nie dadzą żadnych ciekawych rezultatów, gdyż na tak wielkim stałym objekcie zmiany są jedynie możliwe w czasie bardzo długich okresów.

Jeżeli tedy nie fotografowanie i rzucanie ulotek, to właściwie co? Młodsi oficerowie uparcie wskazują na zwycięstwo pod Syltem, które nazwaćby trzeba raczej zwycięstwem nad Syltem. Jednak niedawno wystąpiły wśród angielskich sfer lotniczych wątpliwości, czy Sylt był potrzebny? Uważa się bowiem, że Sylt to za mało i że jeżeli ma się już bombardować, to trzeba czegoś solidniejszego, jak np. zarzucenie bombami całego wybrzeża niemieckiego, w każdym razie Kilonji i Hamburga.

Tymczasem mówi się tylko o wzmocnieniu blokady wokół Niemiec. W tej chwili oczy całego świata zwrócone są na Skagerrak. To miejsce już po raz drugi w historji wojen może łatwo stać się miejscem rozgrywki dwóch flot: niemieckiej i angielskiej. Obecność floty angielskiej u wejść do cieśniny boleśnie uderzyła Niemców. Najcenniejszy materjał wojenny musi przechodzić właśnie tą cieśniną. Rozważmy położenie geograficzne Skagerraku. Wejście do cieśniny ma szerokość 65 mil. Tę szerokość utrzymuje na przestrzeni około 60—70 mil w kierunku na Oslo. Na wysokości przylądka Skaw skręca ostro na południe przechodząc w Kattegat. Bardziej na południe wody Kattegatu rozdzielają się na dwie odnogi — Wielki Bełt i Sund. Bełt nadaje się dla wielkich okrętów, Sund jest dla nich za płytki.

Nasuwa się zasadnicze pytanie: czy wody te, służące w tej chwili do transportu rudy z terytorjalnych wód norweskich na wody niemieckie, rzeczywiście mogą być kontrolowane ze skutkiem? Rejon, w którym działają w tej chwili jednostki floty angielskiej, jest położony bardzo blisko wojennych portów nieprzyjacielskich. Z punktu widzenia strategji morskiej nie jest rzeczą wskazaną, by siły własne operowały zbyt długo w punktach łatwo osiągalnych z portów nieprzyjaciela, chyba że te siły są ogromnie przeważające. W dodatku położenie cieśniny nie sprzyja przedsięwzięciu Anglików. Odległość od ujścia Łaby do Skagerraku wynosi tylko 350 km, podczas gdy od angielskich morskich baz dzieli przestrzeń aż 750 km. Nadomiar nieprzyjaciel dysponuje kanałem kilońskim, który pozwala mu na przerzucanie sił bojowych na dwa morza, na dwa fronty wodne: wschodni i zachodni.

W jaki sposób może dojść do decydującego starcia? W tej chwili w rejonie Skagerraku operują głównie angielskie łodzie podwodne. Niemcy muszą odpowiedzieć wysłaniem swoich łodzi podwodnych i kontrtorpedowców, które najlepiej spełniają zadania związane z konwojowaniem okrętów handlowych. Niema przyczyn potemu, by Anglicy nie zaangażowali w tym rejonie również zespołów kontrtorpedowców. Niemcy będą zmuszeni zaangażować swe lekkie krążowniki, na co Anglja wyśle swe większe krążowniki. Dlatego należy liczyć się w najbliższym czasie z poważną akcją krążowników w rejonie Skagerraku. Akcja ta zadecyduje o powodzeniu blokady. W każdym razie jest rzeczą pewną, że Anglja nie może ani przerwać, ani zaniechać raz rozpoczętej blokady, ze względów zarówno propagandowych jak i prestige'owych. W żadnym wypadku Niemcy nie mogą zgodzić się na długie przeciąganie blokady najżywotniejszej arterji morskiej. Dlatego należy liczyć na ostateczną rozgrywkę. Jeżeli rozważamy całą rzecz w czasie, łatwo może się zdarzyć, że wielka bitwa morska niemiecko-angielska będzie drugiem skolei wydarzeniem wojennem po starciu polsko-niemieckiem. I o ile na ziemi czeka się spokojnie na inicjatywę Hitlera — o tyle w tym wypadku inicjatywa w całem tego słowa znaczeniu, leży w zupełności w rękach sprzymierzonych.

Tu potrzeba dodać, że Anglja bynajmniej nie uchyla się od wystąpienia na innych terenach. Kpt. B. H. Liddel Hart w nadzwyczajnie interesującym artykule p. t. «Czy bombowce nadejdą?», umieszczonym świeżo w «Sunday Express», stwierdza m. in.: o ileby losy wojny zależały tylko od spokojnych sztabowców i rozważnych mężów stanu — inicjatywa zostałaby podjęta w odpowiednim czasie, wtedy gdy przewaga sprzymierzonych wyrażałaby się nie tylko w suchej liczbie posiadanych dywizyj i samolotów, lecz byłaby rzeczywiście druzgocąca pod każdym względem. Innemi słowy: gdyby ta przewaga usuwała niepotrzebne ryzyko.

Jednak losy spraw wojennych tego świata są zależne czasem w równej mierze od sztabowców i dostojników państwowych jak i od najmłodszych żołnierzy armji, od «głów w gorącej wodzie kąpanych», których równowaga umysłu, przychodząca zwyczajnie dopiero w bardziej posuniętym wieku, bywa czasem wątpliwa. Któż może ręczyć, że pewnego pięknego dnia niecierpliwość jednego młodego dowódcy eskadry lub — kto wie — może nawet prosty przypadek, nie postawi jednej ze stron wojujących wobec konieczności natychmiastowego działania?

Rzecz ma się podobnie tak po jednej jak i po drugiej stronie. A może nawet po stronie niemieckiej ryzyko nieprzewidzianego jest jeszcze większe? Inicjatywa Hitlera i moment jej wybuchu jest w małym stopniu zależny od niego samego. Pewne rozgrywki polityczne o charakterze ściśle wewnętrznym jakże łatwo mogą doprowadzić do wybuchu.

Wtedy sprawdzi się jedna z trzech hipotez postawionych przez «Gazette de Bruxelles». Może zresztą wszystkie trzy okażą się fałszywe wobec czwartej, której w tej chwili nie widzimy, lub widzieć nie chcemy?

ADAM STERBAŁŁA.

WYSTAWY

WOJNA 1914 - 1918

W Muzeum Sztuki Dekoracyjnej tacy artyści, jak Dunoyer de Segonzac, Forain, Roger de la Fresnaye, Luc Albert Moreau, Bernard Naudin, Georges Victor Hugo, Steinlen, dają nam wizję przeżytej przez nich wojny 1914-1918.

Wojna ta nie tylko załamała duchowe siły niektórych wielkich artystów, niejeden z nich nie wytrzymał jej również fizycznie.

DUNOYER DE SEGONZAC:
Ilustracja do «Drewnianych krzyżów» Dorgelèsa

Roger de la Fresnaye, który zapowiadał się jako jeden z najgłębszych malarzy francuskich, umarł w parę lat po wojnie fizycznie i moralnie zdruzgotany. Istnieje analogja między Rogerem de la Fresnaye a Géricaultem. Twórczość jednego i drugiego jest wyrazem czynu i bohaterstwa, i obydwaj umieli go wyrazić w formie plastycznej a jednocześnie monumentalnej. Jeden i drugi są przedstawicielami wiecznie młodego ducha francuskiego, tak wspaniale wyrażonego przez Rimbauda.

Forain w swych rysunkach z okresu wojny przestaje być dowcipny. Rysunki jego są nielitościwie sarkastyczne i obnażają ogrom barbarzyństwa niemieckiego. Rysuje on kreską falistą, którą przejął od Daumiera, lub kreską bryłowatą, jak u Géricaulta, podkreśla strukturę postaci i kontrastem plamy szarej i zgęszczonej czerni uzyskuje napięcie dramatyczne. Jego kreska daje nie tylko sylwetę, ale wyraża również objętość postaci dobrze umieszczonej w przestrzeni. Dosadność rysunku wzmocniona jest zawsze u Foraina doskonale znalezionem słowem.

Dużo swoistego czaru znajdujemy w rysunkach *Georges'a Victora Hugo.*

Dunoyer de Segonzac jest mi najsympatyczniejszy właśnie w okresie reprezentowanym na obecnej wystawie. Mam wrażenie, iż ten ceniony artysta jest jeszcze lepszym rysownikiem niż malarzem. W rysunkach swych z wielkiej wojny osiąga on niezrównaną prostotę i bezpośredniość. Rysunki jego, to jakby mistyczne dialogi ze światem, z cierpiącą ludzkością. Bezpośredniość swą osiąga przez używanie w sposób najbardziej oszczędny cienkiej kreski, która mu pozwala trzema, czterema pociągnięciami ołówka czy pióra narysować pole zorane pociskami lub też utrwalić wizerunek francuskiego żołnierza wielkiej wojny. Jego piękne illustracje do znakomitego dzieło Rolanda Dorgelèsa «Drewniane krzyże» mają siłę i wartość wewnętrznej spowiedzi.

LUC ALBERT MOREAU: **Verdun**

Rysunki *Luc Alberta Moreau* posiadają szczerość widzenia o wielkiej bezpośredniości. Kreską nerwową i zygzakowatą umie nam narzucić postaci jak gdyby widziane we mgle, a jednak ostro wrzynające się w naszą pamięć. Umie on tworzone przez siebie sylwety pogrążyć w ciężkiej atmosferze zgrozy i zniszczenia. Wszystkie jego rysunki i szkice olejne dotyczą nieśmiertelnej epoki walki o Verdun.

Bernard Naudin pozostał akademickim realistą, bez głębszego wyrazu.

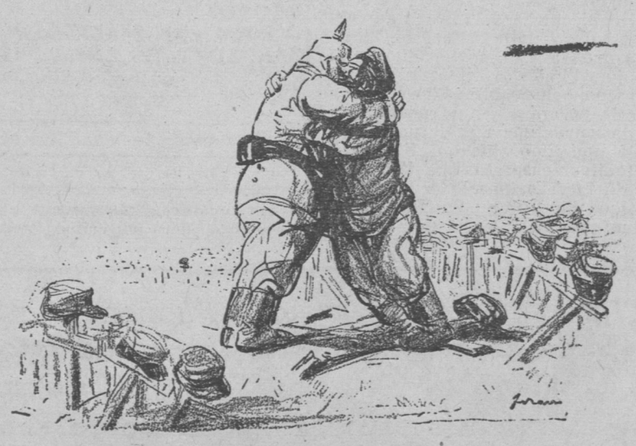

FORAIN: **Pokój z Rusją (28 luty 1918) — Powstańcie, zabici!**

Lepszy i przenikliwszy od niego, chociaż i on nie wyszedł poza tę formułę, jest *Steinlen.*

Forain w swoim czasie był najdowcipniejszym, raczej najzjadliwszym karykaturzystą Francji. W swych karykaturach i rysunkach z wielkiej wojny dał on więcej niż można się było od niego spodziewać. Wyszedł on od Daumiera, pozostając całe życie jego uzdolnionym naśladowcą. W pewnej mierze przejął jego sposób rysowania. W okresie wielkiej wojny zrozumiał i odczuł Daumiera jako wyraziciela nieskończonej ułomności i nędzy ludzkiej.

FRANCISZEK BIEDART.

VITROMAGJA

CZYLI NOWA SZTUKA SYMFO-POETYCKICH WIDZEŃ NA EKRANIE

...Poświęca się tym, którzy umieją przezwyciężyć Czarną Nędzę zapomocą dobrego humoru: rycerzom Nędzy Jasnej, u świtu nowej epoki

(Pol-Dives: «Poemat Czarnej Nędzy»)

Fidybusem umaczanym w denaturacie przenosi Pol-Dives blady płomyk od spirytusowej lampki do świecy, którą postawił na pulpicie. Pan Pol-Dives nie jest przeciwnikiem elektryczności. Lecz rzecz dzieje się przy ul. Huyghens nr. 3, trzy kroki od sławnej «Le Dôme» na Montparnasse, w niby-to pracowni, niby-to sklepiku, który zakręciwszy się na kurzej łapce, poplątał i pozrywał druty, przewodniki, chociaż i tak go nigdy z elektrownią nie łączyły. Pol-Dives zanurza razporaz pióro w atramencie, lepiejby w danym wypadku powiedzieć — w inkauście, i na moją prośbę, kreśli pochyłemi wersalikami swoich 10 punktów.

10 PUNKTÓW MISTRZA VITROMAGJI

1. *Nazwaliśmy vitromagją (magją witrażu) zespół przezroczy wykonanych bezpośrednio na szkle, związanych ze sobą myślą poetycką i muzykalną.*
2. *Zaliczam vitromagję do malarstwa. Ale jest to malarstwo umieszczone w czasie w formie przyjemnego spektaklu (to pozwala nam przedstawiać szereg obrazów często nieprzyjemnych).*
3. *Vitromagja, to „kino" artystów, myślicieli: intelektualistów. Pobudza ona myśl bardziej jeszcze niż zmysły i ciekawość.*
4. *Jest to nowa sztuka, lecz wywodzi się z latarni magicznej. Malarz Pol-Dives pierwszy użył tej sztuki jako prostego i mocnego iednocześnie środka wypowiedzi artystycznej — poetyckiej i obrazowej.*
5. *Pierwsze szkła zostały wykonane w r. 1927 w łonie „Zakonu Rycerzy Jasnej Nędzy", poszukujących sztuki możnej i niekosztownej.*
6. *Pierwsze próby zostały wykonane na starannie spojonych ze sobą „skórach" pluskiew. Osiągnięto efekt porywający.*
7. *Lecz ponieważ odzieranie tych bestyj ze skóry wymagało zbyt długiego czasu i było wstrętne (potrzeba było 289 sztuk do wypełnienia formatu), system ten został zarzucony, i ograniczyliśmy się do pracy na szkle, które jest materjałem mniej bogatum, wnmaga wielkiej pomysłowości i bardziej doskonałej techniki. Z tego wysiłku narodziła się sztuka vitromagji.*
8. *Pierwszy pokaz odbył się na Międzynarodowej Wystawie Ligi Filmowej w Hadze w r. 1928.*
9. *Wielkość naturalna szkła, na którem Pol-Dives wykonywa swą kompozycję, wynosi 7 × 7 cm.*
10. *Na ekranie obraz jest powiększony 700 razy, a zyskałby jeszcze gdyby był powiększony bardziej.*

HANGAR — KAPLICA «MISERE CLAIRE»

Dwa kolorowe przezrocza, obracane w przeciwnych kierunkach, dają na ekranie kalejdoskopowy obraz o niekończącym się a wiecznie tym samym ruchu. Oczywiście, nie można tej prymitywnej geometrji nazwać abstrakcją dużego stylu, jest to zabawka, mozaika o niezmiennym rysunku, tworzącym się nieustannie przez zbliżające się i oddalające linje. Pol-Dives pomoca tę mozaikę to szybciej, to wolniej, zgodnie z niewyszukaną melodją gramofonowej płyty, by ją wreszcie ralentando zatrzymać.

To był wstęp, uwertura do widowiska, które mistrz stojący u latarni czarnoksięskiej chciałby niewątpliwie nazywać «nabożeństwem vitromagji». Koncepcja Pol-Divesa jest intelektualno-artystyczna. Lecz atmosferą, którą usiłuje stworzyć wokoło siebie, w której najlepiej mu się napewno pracuje, atmosfera ewangelicznej prostoty, za którą czai się — kto wie? — apokaliptyczna groza, podkreślana jest co szczegół drobiazgiem i słowem mistyki, zaczerpniętem z klasztoru średniowiecza i z bizantyńskiego wnętrza rosyjskiej cerkwi.

Nad drzwiami prowadzącemi z owego niby-to sklepiku do «sali projekcyjnej» wisi napis — KAPLICA MISERE CLAIRE. Prywatnie nazywa ją Pol-Dives LE HANGAR. Jest to rzeczywiście szopa bez sufitu i podłogi, w głębi spirytusowa latarnia magiczna, ławy z amfiteatralnie ustawionych skrzyń — lecz nie rozglądajmy się wkoło, patrzmy dalej na ekran.

SPEKTAKL

Po kolorowej arabeskowej uwerturze, następuje archiwalna część programu. Teksty, czarnemi majuskułami wykonane na szkle, treści tej samej co dziesięć przytoczonych wyżej punktów, przeplatane są przezroczami współczesnemi Karolowi X i kalkomanjami z czasów Napoleona III i Ludwika Filipa, wykonanemi przez rysowników, nie narzucających swej osobowości, starających się narysować «przedstawiane rzeczy» poprostu objektywnie «jak najlepiej».

AKTUALNOŚCI ŚWIATOWE

Taki tytuł nosi pierwszy cykl przezroczy z r. 1927. Nie są one jeszcze połączone więzią «scenarjusza», który tak doskonale i mocno spoi późniejsze poematy. Ale już tu wyodrębnić można zasadnicze cechy sztuki Pol-Divesa: swoisty «ruch» nieruchomych obrazów (możnaby pożyczyć terminu z kinematografji i powiedzieć: *montaż*); efekt *zamiany* napisu na obraz; specyficzna *„faktura świetlna"* obrazu jaśniejącego kreską i kolorami na ekranie; wreszcie —i to już będą cechy indywidualne Pol-Divesa a nie vitromagji — wartości plastyczne jego obrazów, w ujęciu tematu, kompozycji i w rysunku przypominające «grafikę» średniowiecza, jej w pewnym sensie surrealistyczną literackość, dowcip, poetyckość i groteskę.

Nie od rzeczy będzie zacytować tytuły szkieł, objętych wspólną nazwą: *„Aktualności światowe".*

Adam i Ewa spożywają owoc zakazany. Sokrates maltretowany przez żonę. Lindbergh prowadzony i protegowany przez św. Ludwika, króla Francji, przebywa Atlantyk Napoleon pod Moskwą. Wzrost zaludnienia w New Yorku. Oświetlenie Londynu w czasie zaćmienia słońca dn. 29 *czerwca* 1927 *r.* Cykl ten poprzedza autoportret Pol-Divesa, pędzącego na dwóch białych koniach po czerwonem tle ekranu.

TRZY POEMATY

Nakoniec trzy wielkie poematy: *„Złodziei nieznany"* (1927), *„Muzeum sztuki"* (1928), *„Z bandytami w Alpach"* (1929).

Chciałbym jeszcze dodać słowo o roli napisu w vitromagji. Film niemy nie wykazał wielkiej inwencji w tej dziedzinie. Napis był wklejonem między zdjęcia złem koniecznem. Film dźwiękowy naogół nie znalazł formy dźwiękowej dla napisów, poprostu je powyrzucał.

Napisy Pol-Divesa współgrają z obrazem. Są jak dobrze wymierzone strzały w strzelnicy luna-parku. Kukły, jedna po drugiej trafione w brzuch, w czoło, w serce, zaczynają się poruszać i odtańcowują przed nami balet pełen sarkazmu.

LE VOLEUR INCONNU

Pierwszy wielki poemat Pol-Divesa *„Złodziej nieznany"* składa się z pięćdziesięciu sześciu przezroczy: trzydziestu rysunków i dwudziestu sześciu tekstów.

I

Zaczyna się banalnie napisem *„Zuchwała kradzież"*, po którym zjawia się na ekranie trzech arlekinowo przebranych złodziejów z workami złota w dłoniach. Lecz oto *brygadjer najbliższego posterunku, któremu powierzono przeprowadzenie śledztwa.* Brygadjer, narysowany lekką sepjową kreską na zabrudzonem szkle, co daje obrazowi na ekranie dobrą patynę, nosi napoleoński kapelusz, ma wbok rozstrzelone oczy i odstające uszy. Intryga nawiązana Pol-Dives przerzuca szkła w latarni magicznej i pokazuje kolejno z rozmachem malowane pędzlem *osoby podejrzane,* dobrze uczesanych, z kwiatkiem w butonierce, pewnych siebie *ludzi uczciwych, typ nieokreślony lecz bardzo interesujący, osobę niewinną,* oraz *trzy osoby wstydliwe jedna w drugiej,* rysowane na tem samem przezroczu.

Pol-Dives jest już w swoim żywiole.

II

Oto *złodziej nieznany, widziany przez utalentowanych artystów, przez wielkich mistrzów, przez Rembrandta, przez Picassa, — Foujita,* według Pol-Divesa, *sądzi że jest to kobieta leżąca, — Picasso i Foujita nałożeni na siebie zaciemniają śledztwo* («przenik» przezroczy 4 i 5), *— po skasowaniu zupełnie zbytecznych linij rysunku odkrywamy scenę powszednią wampiryzmu.*

III

Tymczasem w cieniu śledztwa, które rozrasta się coraz bardziej, złodziej nieznany wspina się z zawrotną szybkością po szczeblach drabiny społecznej.

Złodziej nieznan" zostaje poznany na przedmieściu przez dwie młode kwiaciarki, córki bardzo bogatego ziemianina.

W trzy dni później złodziej nieznany zostaje poznany w głębi piwnic" przez swoją żonę chorą na elephantiasis.

Złodziej nieznan" zostaje poznany przez swego dawnego kolegę.

Złodziej nieznany, niedocenionny nudysta, zostaje rozpoznany przez swą masażystkę.

Złodziej nieznany, dziecko nieprawe, zostaje uznany przez swego ojca.

Złodziej nieznany zostaje uznany za zdolnego do służby wojskowej.

Złodziej nieznany w panteonie.

Złodziej nieznanu w raju.

Apoteoza.

Koniec.

GOŚĆ W MELONIKU

Gość w meloniku, który kręci się właśnie po owym niby-to sklepie, niby-to pracowni, przed Hangarem, wygląda jakby był żywcem zdjęty z przezrocza Pol-Divesa.

— A wejście dziewięćnaście sous? — pyta, i lekka pogarda towarzyszy jego słowom.

— Wejście nie kosztuje nic. Przy wyjściu wrzuca się do puszki. Komu się nie podoba, może nie płacić.

Gość w meloniku uśmiecha się ironicznie lecz przyjacielsko. Znienacka się odwraca:

— A to?

— To jest plakat «Misère Claire». Dziesięć lat temu urządzaliśmy bal...

— Gdzie? — pyta szybko gość w meloniku.

— Na Champs-Elysées.

— Na Champs-Elysées — powtarza gość w meloniku, i tym słowom towarzyszy nuta zainteresowania i aprobaty.

— Sprzedaliśmy tysiąc biletów po sto franków.

— Sto tysięcy franków?! I... i... — jeszcze chwila a gość w meloniku przestanie być gościem w meloniku, ponieważ zdejmie melonik z głowy.

— W prasie rozpętała się kampanja przeciwko nam. Że «Misère» przesiaka na Pola Elizejskie do Amerykanów. Nie dopuścili do urządzenia balu.

Gość w meloniku wykazuje wielkie podniecenie:

— I... I te sto tysięcy franków? — zaciera ręce w oczekiwaniu szczęśliwej pointy.

— Oddaliśmy. Zwróciliśmy pieniądze za bilety i sami musieliśmy ponieść koszta

Gość w meloniku nieruchomieje. Musi zmarszczyć czoło w głębokie fałdy, żeby zrozumieć słowa, które usłyszał. Rozgląda się wokoło — rozkłada bezradnie ręce. Oczywiście, niema już mowy o zdjęciu melonika. Nasuwa go na oczy. Trzepoce palcami prawej ręki, jakby chciał z nich strząsnąć niewidzialny ponjół. Wzrusza ramionami i odwraca się do drzwi.

— Bonjour! — mówi.

Wychodzi.

Lecz to nieprawda. Stoi *wciąż* między stołem i drzwiami, zaskoczony, z pomarszczonem czołem, w meloniku opuszczonym na oczy, nieruchomy jak obraz vitromagji.

— Nie wiem kto to jest, — mówi Pol-Dives, — ma wygląd flicka albo takiego od podatków.

Pol-Dives siada przy pulpicie, sporządzonym ze zmurszałego kloca i pochyłej deski, bierze pióro do ręki, lecz wnet je odkłada:

— «Misère Claire», — mówi, — to nie to samo co «Misère Noire».

Pol-Dives siedzi przy pulpicie i opowiada dalej. Lecz *równocześnie* widzę, że wstaje ze stołka, podchodzi do znieruchomiałego gościa w meloniku, wkłada go pomiędzy dwie przezroczyste szybki, spłaszcza go między niemi, okleja wokoło paskiem czarnego papieru, aby się nie mógł wślizgnąć, dodaje kilka kresek czarnego tuszu, plam kolorowej farby, macza w szkliście werniksie, a potem zanosi obok do swej kaplicy «Misère Claire», aby obejrzeć nowe przezrocze w świetle latarni magicznej i opatrzyć je napisem: *„Typ nieokreślony, ale bardzo interesujący".*

STEFAN THEMERSON.

Zuchwała kradzież

...osoby podejrzane...

Złodziej nieznany widziany przez wielkich mistrzów... przez Rembrandta...

Złodziej nieznany, niedoceniony nudysta, zostaje rozpoznany przez swą masażystkę

Złodziej nieznany, dziecko nieprawe, zostaje uznany przez swego ojca

Złodziej nieznany zostaje uznany za zdolnego do służby wojskowej

Złodziej nieznany w panteonie

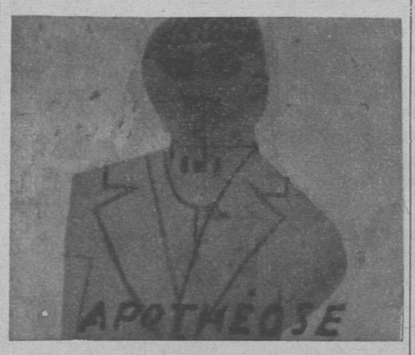

Złodziej nieznany (apoteoza)

SPRAWY POLSKIE W «NOTRE COMBAT»

Co tydzień zjawia się w kioskach, w metrze, w rękach przechodniów, barwna okładka nowej broszury politycznej, z cyklu «Notre Combat». Nazwiska autorów poszczególnych zeszytów (Maurois, Gillet, Suarez), tematy studjów, kroniki polityczne Fribourga zjednały wydawnictwu wielką popularność we Francji i poza jej granicami

Sprawy polskie śledzone są przez «Notre Combat» czujnie i życzliwie. Wydawnictwo rozpoczęło swój żywot dn. 21 września ub. r. od zeszytu p. t. «Journal d'un crime» w opracowaniu Louis Gilleta, dającego plastyczny obraz okresu poprzedzającego moment wybuchu wojny, ze szczególnem uwzględnieniem spraw polskich.

W zeszycie następnym (z dn. 28 września) p. t. «La menace aux civils. (Les bombardements aériens)» André Fribourg, autor «La victoire des vaincus» (1938), książki niemal proroczej, przeczonej u nas, omawia taktykę i wyniki masowych nalotów na Polskę. Ze szczególnym naciskiem podkreśla Fribourg fakty bombardowania skupień ludności cywilnej, usankcjonowane zarządzeniem niemieckiej głównej kwatery z dn. 14 września 1939 r. Bohaterska obrona Warszawy spotyka się u Fribourga, uważnego słuchacza Warszawy II, z oceną entuzjastyczną: «Tym, którzy w przyszłości przeczyć będą Polsce prawa do samodzielnego bytu, naród polski powinien przypominać krótko Warszawę we wrześniu 1939 r. Wierzy się pono tylko tym, którzy życie własne złożyli w obronie sprawy. Jest to równocześnie definicja męczenników».

Wydana dn. 8 marca b. r. broszura Luc Durtaina p. t. «Ce que Hitler prépare en Pologne. (Le plus grand crime de l'histoire)» wprowadza czytelników francuskich w drugi etap walki Hitlera z Polską, walki z narodem pokonanym i bezbronnym. Przed oczami czytelnika rozsnuwa się nieskłamany w niczem film, znany z autopsji, z relacyj świadków, udokumentowany aż nazbyt przekonywająco: skwery miejskie, zamienione w cmentarze, pociągi przepełnione wysiedlaną przymusowo ludnością polską Pomorza i Wielkopolski, nieskończone kolumny samochodowe, uwożące mienie polskie w głąb Niemiec, i t. d., i t. d.

Durtain przeżył i przemyślał głęboko, serdecznie, po ludzku, tragedję ziem polskich okupowanych przez Niemców. Dostrzegł i omówił kolejno: łamanie charakterów, niszczenie dorobku kulturalnego, sprowadzanie do stanu niewolnictwa ośmiu miljonów rąk roboczych i porzucanie bezbronnych samotnych starców, kobiet i dzieci, bez środków do życia, cztery ponure wytyczne programu Niemiec hitlerowskich. «Od czasu wędrówki ludów nie nakreślono szerzej pomyślanego planu przesiedlania ludności od realizowanego obecnie dzieła Komisji Migracyjnej» — przytakuje «Völkischer Beobachter», dając świadectwo tezie Fribourga, Bernusa i tylu innych, że szaleństwo Hitlera stało się udziałem rządzonego przezeń narodu.

MARJA DANILEWICZOWA.

NOWE FILMY

«PACIFIC EXPRESS» («Rex»)

Rzecz dzieje się w latach powstawania wolnokonkurencyjnego kapitalizmu amerykańskiego, kiedy odkryto pierwsze źródło nafty w Pensylwanji, pokłady złota w stanach Colorado i Nevada, rudę żelazną w okolicy Górnego Jeziora; kiedy z ziemi zdobywanej na Indjanach mógł każdy otrzymać sto sześćdziesiąt akrów na własność; kiedy Pierpont Morgan kupował od rządu stare karabiny po 3 1/2 dolara za sztukę i sprzedawał je wojsku po 22, a komandor Vanderbilt zabrał się już do interesów kolejowych.

Film «Pacific Express» poświęcony jest dziejom budowy linji kolejowej, mającej połączyć Atlantyk z Pacyfikiem. *Cecil de Mille* nie nawiązue bezpośrednio do machinacyj i oszustw związanych z budową tej kolei (tyle tylko z nich bierze ile mu potrzeba do zawęźlania akcji), nie przezwycięża, nie zdobywa, nie pogłębia, ale upraszcza i schematyzuje zagadnienia, fabułę, postaci, pozbawia je tajemnic i niedopowiedzeń — i wreszcie, pomniejszywszy w ten sposób elementy, z których buduje film, staje się w stosunku do nich tak wielki, że może je płynnie swobodną i szeroką frazą opisywać. Cecil de Mille jest epicki już w samem ustawieniu aparatu. Szerokątowy objektyw obejmuje naraz olbrzymie płaty preryj, kilometry toru, wykolejony pociąg i tłum Indjan, miotających strzały w romantyczną lokomotywę z r. 1865 — aparat nie pokazuje grud ziemi, które trzeba z miejsca na miejsce przesypać, lecz odrazu ogromną płaszczyznę, na którą, jeden przed drugim, padają drewniane podkłady.

Lecz Cecil de Mille nie zbliża się także i do człowieka. Jego postaci umieszczone są zawsze w całości określonego wnętrza czy pejzażu, charaktery — czarne i białe — fotografuje z tym samym objektywizmem co mapę, na której wykreślonych jest 4000 kilometrów linji kolejowej, mającej przeciąć kontynent amerykański.

Jedyny komentarz formalny, jaki dopuszcza, to cień zachodzący na twarz umierającego.

W wyniku «Pacific Express» ma wszystkie cechy t. zw. «awanturniczych» książek dla młodzieży, do których wraca się czasem wtedy, gdy świat nagle okaże się dla nas zbyt skomplikowany, po próbkę bohaterstwa i romantyczności.

stth.

W poprzednim 6-stronicowym numerze (4) «Wiadomości Polskich» (7 ilustracyj): *Kazimierz Wierzyński:* Pubacz. Według opowiadania porucznika D. — *Józef Wittlin:* Oda na cześć mowy i poezji polskiej. — *Zenon Kosidowski:* Paryskie noce. — *H. G. Wells,* przełożył *Zbigniew Grabowski:* Komunizm i Rosja. — Aktualności Polityczno-Wojenne. *Juljusz Grot:* Na marginesie przesilenia gabinetowego: Psychologja polityczna Francji. *Observer:* Głosy świata. Niewolnictwo. *Adam Romer:* Ukryte cele paktu z 1934 roku. — Na marginesie artykułu Ignacego Matuszewskiego. *Wacław Babiński:* W poszukiwaniu źródeł słabości. *Maria Kuncewiczowa:* Głębsze źródło słabości. — *Zofja Hołub-Pacewiczowa:* Z księgi męczeństwa polskiego. Ś. p. Jerzy Smoleński. — Extraits et résumés, en français, des articles paraissant dans ce numéro. — Rysunki Feliksa Topolskiego z «Free Europe». — O «Wiadomościach Polskich». — Korespondencja.

SZKICOWNIK POETYCKI

I

Dlaczego piszę tak a nie inaczej? Jestże czas na podobne medytacje? Czy wolno nam dzisiaj ujmować świat jako całość, ludzi jako jeden gatunek, gwiazdy jako przyszłe nasze ojczyzny? Darujcie że dusza moja wyrywa się ponad dzisiejszy dzień! Że szukam pociechy w syntezie, w porównaniach przyrodniczych. Każdy z nas, jak zasypany górnik, czołga się w inną stronę po zbawcze światło, każdy na swój sposób rozumowaniem błądzi. Rozmawiam z ziemią i wszelkiem stworzeniem na tematy wojenne. To mi ulgę przynosi.

II

Ziemio, matko gatunku ludzkiego, planeto ciemna, spod jasnej gwiazdy, dokądże dążysz z tym swoim ładunkiem cierpienia? Jak barwą do ciebie podobna jaskółka-jeżyk, która podlega strasznemu pasorzytowi, rudemu pajęczakowi, upadasz, zatruta śmiertelnie, i znowu dźwigasz się, by ostatkiem sił uciekać od samej siebie.

III

Nie płacz, człowieku! Naturze smutki swoje przekaż! Patrz jak szczodrze, nieskończenie, deszcz łzy roni za ciebie. Jak młody gaj brzozowy, obniżoną chmurą uduchowiony, tęskni w imię twoje. Wierzba-płaczka traci wszelką nadzieję i nawet pociechy nie żąda; wyręcza cię, załamując ramiona. Chmury, pod zachód słońca, krwawią śmiertelnie; błyskawica przeklina sinym wykrzyknikiem całą rzecz ziemską a gwiazdy rzucają się z nieba w otchłań, smugami żałosnego zniechęcenia. Świat klęka przed tobą, do winy się przyznaje i mówi wśród westchnień:

„Jak mi żal, jak żal! I ciebie, i wszelkiego istnienia na przemijanie skazanego! Zwierząt na ubój i roślin na uwiąd przeznaczonych, a przedewszystkiem miłości wszelkiej, wiecznie trwożnej i wiecznie zagrożonej...

„Pamiętasz, jak przed chwilą wyrazistym, pełnym strachu głosem pytała o dzieci swoje matka-ptak, gdy po burzy nie mogła się ich doszukać? Wichura rozrzuciła je, gdy stroszące skrzydełka, nastawiały się pod wiatr; przepędziła je daleko w głąb ogrodu.

„Matka, wyliczając czas na odpowiedź, nasłuchiwała — poczem znowu wołała donośnie razporaz, pełna miłości, wiecznie utrapionej.

„O, żal mi, żal mi Stworzenia! Posłuchaj wichru: to ja wypowiadam się w nim jak mogę!

„A teraz, wiosną oddam swój smutek śpiewnej raszce ogrodowej, niech głosi że tęsknię do śmierci, bo już i sam siebie nienawidzę.

„Waga wieczności przeważyła nade mną, osiadła na mnie ciężko i wlecze się po moich obszarach, unieść się nie mogąc.

„Wy, ludzie, dorzucacie nieszczęścia, zamiast mi go ujmować.

„Nie płacz więc. Masz deszcze moje, niech ci służą niestrudzenie, wypowiadając szarość łzawej niedoli.

„Błoto na drogach wiejskich wyrazi bezbrzeżne upokorzenie twoje i wstręt do ubóstwa, w które cię nagle wtrącono.

„Obłędnie zakrążą wkoło ciebie suche liście zeszłoroczne, wzywając cię: „Z nami! wkółko i naprzód!". Wówczas wiatr płakać będzie moim głosem, skargą tak bezbrzeżne upokorzenie twoje i wstręt stracić, aby taką wydać...

„A jak najęta żałobnica włosy rwie i twarz kaleczy, tak i ja własnem morzem o własny ląd uderzam, kalecząc go, ze śpiewem smutku".

IV

Nie trwóż się zbytnio, ty, któremu wszystko coś posiadał, zabrano! Pamiętaj, że nagi przyszedłeś na świat, bez siły i obronności, zdany na łaskę otoczenia. Zaufałeś matce, znanej ci dotąd tylko jako organizm ciemny i gorący, zewnętrznej matce, która mogła zdusić cię nienawistnym lub tylko nieostrożnym ruchem. Jednak obce ci moce pełne były dla ciebie życzliwości i zrozumiałeś że uśmiechają się do ciebie.

Żywiono cię, okrywano, aż się uchowałeś. I za cóż tyle dobroci? Cóżeś takiego uczynił? Byłżeś kim wybitnym? Nie, wystarczyło opiece ludzkiej i boskiej, że byłeś bezbronny. Stałeś się wkrótce właścicielem wielu przedmiotów, strojów. Grzechotką, piłką starano się uweselić twoją duszę.

Rozbudowałeś zwolna swój stan posiadania na tym świecie. Aż doszedłeś do tego, że dzisiaj miano ci co odebrać, i podebrano miód z twojego życia, ponieważ taki już jest los wszelkiego dobytku i miodu.

Nagi przyszedłeś na świat. Więc się uspokój: tak ubogi jak wówczas dzisiaj mimo wszystko nie jesteś! Masz dojrzałe do pracy ręce, znasz ludzką mowę i coś przecież masz na sobie. A gwiazdy nad tobą, jak i wtedy.

V

Przygodna towarzyszko wygnania, przypominasz sobie jak to w małem miasteczku rumuńskiem kupowałyśmy pierwsze najpotrzebniejsze przedmioty, mające nam służyć w ostrym, cudzoziemskim grudniu? Podobały nam się tylko rzeczy najtańsze i możliwie najcieplejsze! U nas, tam daleko, po domach i dworach pozostały stare służące, weteranki życiowej wojny, o których wciąż myślałam, czyniąc te sprawunki tak zgrzebne...

Pamiętam jak nasza Bronisława, „wyprawna" jeszcze służąca mojej matki, układała swoje niciane rękawiczki, swoje bawełniane pończochy, z szacunkiem, a nie inaczej niż tylko w kuferku. Szafy nie uznawała, gdyż i w wojnie życia trzeba być wiecznie w pogotowiu!

Zawieje wiatr i trzeba ruszać w dal...

Sędziwa dzisiaj Brońcia, urodzona w biedzie, a więc w stanie wojennym, żyła w nieustannej trosce podczas mojej „prosperity", mojego długotrwałego pokoju. Różnica, jak dzisiaj między Europą i Ameryką!... Brońci wojna trwać będzie do końca jej żywota, który zakończy się zapewne w szpitalu, gęsto bombardowanym przez śmierć, choćby wówczas nawet i najjaśniejszy pokój narodów panował w całej Europie. Śmierć nie pyta, nie rozbraja się... Gdzież schron przed nią i przed starością? Na „Zachodzie" starej Brońci nie było i nie będzie zmian. Żadne traktaty i konferencje nie doprowadzą do pokojowego zakończenia tych wieczystych nieporozumień... Gdy ja, zagłębiona w fotelu, słuchałam porannego radja, ona przepychała się przez tłum, w sklepach potrącająca i potrącana, wojennym zwyczajem, co rano. Jedni mieli ułatwienia, drudzy ograniczenia i trudy. Dzisiaj my dla odmiany stoimy, towarzyszko kochana, w poniżającej kolejce, i chwalimy sobie trzeciorzędne nasze pończochy, i szale nasze bawełniane... A przez to myśl o Brońci o wiele mniej boli, a i to coś warte.

MARJA PAWLIKOWSKA.

EXTRAITS ET RÉSUMÉS, EN FRANÇAIS, DES ARTICLES PARAISSANT DANS CE NUMERO

An sommaire du nº 5 des « Nouvelles Polonaises » figurent les textes suivants : « La poésie de Varsovie », par M. Jan Lechoń ; les poèmes de MM. Juljan Tuwim et Antoni Słonimski; les poèmes glorifiant la Pologne en détresse de M. Ribeiro Couto, poète brésilien, membre de l'Académie brésilienne, et de M. Anton Duinkerken, poète catholique hollandais, directeur du journal « De Tijd » et des revues littéraires « De Gemeenschap » et « De Nieuwe Gids » (traductions de Mlle Kazimiera Iłłakowiczówna) ; de MM. Juljusz Grot (« A l'époque de l'Apocalypse motorisée »), Observer (« Robert et Bertrand »), Adam Sterbałła (« Notes sur la guerre ») ; comptes-rendus de MM. Franciszek Biedart, Stefan Themerson et de Mme Marja Danilewiczowa (« La cause polonaise » et « Notre Combat »).

Nous donnons ci-dessous les résumés de quelques articles qui pourraient intéresser, plus particulièrement, le lecteur français.

La poésie de Varsovie

Naguère encore, Varsovie était taxée de frivolité et sévèrement jugée, en tant que capitale, par les villes provinciales de la République. On lui reprochait sa façon légère, chantante et dansante de vivre sa vie.

Et voilà que surgit le vrai visage de Varsovie ; sa sublime vertu soudain se fait jour. Devant son héroïque résistance, qu'elle paie de mille décombres et de mille et mille morts, le monde entier s'incline, avec une admiration sans bornes, avec une respectueuse et fervente pitié.

Ce n'est certes pas la première fois qu'elle s'accuse ainsi, mais la farouche grandeur de sa défense, l'ampleur de son sacrifice récent dépassent les exploits passés de son histoire. Maintenant, les Polonais, tous les Polonais, voient quel fut et quel est l'esprit de Varsovie.

D'ailleurs, ces erreurs de jugement, on les connait à l'égard d'autres pays, d'autres cités, d'autres gens. Toutes proportions gardées, Paris ne reste-t-il pas masqué par des apparences trompeuses : par la mousse qui le couvre et par de troubles scories qu'il dépose dans ses bas-fonds ? Et le Parisien ? Combien est-elle fallacieuse l'image dont le gratifie le touriste distrait !

De tous temps, Varsovie derrière son sourire insouciant cachait ce qui était l'essence même de la culture polonaise et complétait richement ce qu'apportaient, pour son ensemble, les autres centres culturaux, telle Cracovie, par exemple.

Ici et là apparaît l'âme de la Pologne. Les écrivains polonais, quel que soit leur monde particulier, s'assemblent et se ressemblent. Żeromski et Prus sont du même « pays moral », et Mlle Eve Curie, sans les connaître sans doute, en peignant l'inoubliable portrait de Marie Curie, se meut dans leur atmosphère, indiscinctement. La biographie a beau faire partie de la littérature française, elle est mêmement une œuvre polonaise, œuvre qui découvre la Pologne qu'on semblait ignorer jusqu'ici, conte son existence dure et laborieuse, montre son héroïsme quotidien, tout différent de cet héroïsme à panache qu'un étranger bénévole trouvait dans les romans tumultueux de Sienkiewicz.

Or, c'est cela même que synthétise Varsovie où, sous de fallacieux dehors, bat le pouls du pays, son cœur amical, et où règne la culture de la nation, multiforme et pourtant toujours fidèle à elle-même. C'est de là que venaient les gôuts littéraires, les tendances sociales, les mots d'ordre.

Il est vrai que Cracovie demeure chère au souvenir, puissamment agissante par la mystique de Wawel, par la poésie de ses vieilles pierres du Gothique et de la Renaissance ; mais Varsovie a également sa propre mythologie, grandiose quand elle se raporte aux Łazienki — résidence souveraine, au Château royal, peuplés de grands fantômes, et, funèbre, quand ce sont les gibets de la Citadelle, où périrent les patriotes polonais, qui l'évoquent.

Varsovie est riche, plus riche que toute autre ville polonaise, en humour, humour masovien, sarmate, supprêmement national mais aussi, poli, affiné par un incessant contact avec l'esprit parisien — contact entretenu par maints et maints Polonais qui s'en venaient à Paris prendre l'air.

Dès la renaissance de la Pologne, refleurit la beauté architecturale de l'ancienne Varsovie, débarrassée du coup du badigeonnage russe, de tous les enlaidissements, voulus ou occasionnels ; la ville nouvelle, aux parcs spacieux et aux larges avenues, s'étale, en même temps, là où les rues étaient étriquées et les bâtisses sans caractère.

Peut-on s'imaginer la douleur, le désespoir du président de la ville Starzyński, lorsqu'il vit tomber en ruines, par sa volonté spartiate, par son ordre impitoyable. ce qu'il a édifié, créé et aimé ? Les heures qu'a vécues alors le président Starzyński, les poètes épiques les vont célébrer en des poèmes qui auront la couleur des tragédies antiques.

Poèmes glorifiant la Pologne en détresse

Le texte du poème « Lamento d'un évêque en exil » par Ribeiro Couto :

«On a pris mes paroisses, avec mes villages, les chaumières de mes laboureurs, leur bétail, leurs champs de blé, les écoles de mes enfants, où l'on se met à leur apprendre des langues étrangères, mes églises, où de petites vieilles venaient chanter avec moi. Les eaux des fleuves, tachées de sang, maintenant sont laides, et elles étaient si belles, avec des barques tranquilles à naviguer sans danger. Aussi mon sang, le sang ardent qui coule dans mes veines, je le donnerai pour voir, libérées des troupes du chef ennemi, ces paroisses là, avec leurs simples et bons villages, et mes laboureurs, qui ne méritaient pas, mon Dieu, une telle punition».

Le texte du poème « Un garçonnet à l'hôpital » par Ribeiro Couto :

«J'étais à jouer; une bombe est tombée est je n'ai vu plus rien. Puis, je me suis réveillé: rien que du feu et de la fumée. J'ai crié longuement pour appeler maman. La pauvre ne venait pas, vous savez pourquoi. — Personne ne venait à mon secours. C'était moi à courir par la maison incendiée. Justement le jour de ma fête. Quelle affaire. Combien de cadeaux, que j'avais gagnés! Enfin, me voici, et vous savez pourquoi. — De papa je n'en ai plus entendu parler; mais peut-être qu'il est encore dans les bois, à cheval, avec d'autres soldats, luttant sans peur d'aucune chose. Luttant avec rage. Vous savez pourquoi. — Bien. Que je voudrais aller avec lui, si j'étais grand, prendre une épée, mais une vraie et non pas un jouet, prendre une épée, vous savez contre qui et vous savez pourquoi».

Le texte du poème « Chanson de Noël polonaise » par Anton van Duinkerken :

«Dis à l'Enfant de Noël, qu'il ne vienne pas, Sainte Mère. Ne le laisse pas venir, nous n'avons pas d'étable, Pas de bœuf, pas d'âne, pas de brebis, pas de berger, Pas de ciel du soir qui soit ouvert pour le chant des anges. — Nous n'avons plus même un esprit qui ose encore croire que Dieu est vraiment bon; aucun Mage ne regarde dans le plus profond de la nuit les étoiles là haut; Aucune chanson n'a le rhytme de l'angoisse de notre cœur. — Il n'y a que l'armée ennemie. Pour faire souvenir que c'est la nuit sainte Et l'obligation de crier à haute voix: « Heil Herode » avec la chance d'être tués, innocents».

Angers, capitale d'Anjou et de la Pologne

« Capitale d'une de plus belles provinces de France, l'Anjou, Angers est en outre aujourd'hui, celle d'un pays d'Europe que la barbarie a chassé de ses frontières.

« Située au centre d'une région de douceur et d'harmonie, cette ville était, plus qu'aucune autre, désignée pour un rôle aussi noble, car, plus qu'aucune autre, elle pouvait offrir à des exilés, les éléments du réconfort moral dont ils ont tant besoin, en leur donnant par surcroît, l'idée la plus exacte de ce qu'est, en France, une cité provinciale à la fois attachée à son passé glorieux et soucieuse, mais avec mesure et sans excès, des exigences de la vie moderne.

« C'est, en effet, sous ce double aspect qu'Angers apparaît à l'œil du visiteur, car, si la splendeur de son histoire s'inscrit sur les murs de ses vieux monuments aussi bien que dans les statues érigées sur son sol, et qui attestent la gloire, en même temps que la diversité du génie de ses enfants les plus illustres, le charme et l'élégance des quartiers neufs qui s'étendent au-delà de la ceinture intérieure des grands boulevards dont s'enveloppe le cœur de la ville, et que traversent de larges avenues bordées de riches hôtels et de vastes jardins où l'air et la lumière circulent librement, lui assurent un caractère tout particulier de grâce et de luxe joyeux.

« De ces jardins, l'un, celui du Mail est, en été surtout, un véritable enchantement. Des parterres de fleurs aux nuances éclatantes forment une mosaïque diaprée sur laquelle de grands arbres versent leur ombre protectrice, et proclament ainsi la réputation méritée de l'Anjou reine incontestée du royaume floral de la France.

« La vieille ville que l'on désigne couramment sous le nom de « La Cité », se dresse au bord d'un des quais entre lesquels coule, indolente et paisible, une rivière charmante, la Maine, formée par la fusion de deux autres plus modestes, la Sarthe et la Mayenne, et que la Loire attend, sans impatience, au delà des prairies de la Baumette, où flotte toujours le souvenir de Rabelais.

« Par des rues étroites et par un des boulevards né tout près de l'ancien hôtel du « roi de Pologne », hélas! fortement outragé par les ans, elle grimpe jusqu'au vieux château dont l'énorme masse domine de ses dix-sept tours les fossés larges et profonds dans lesquels elles semblent plonger. Monument formidable et dont la puissance déconcerterait volontiers ceux qui croiraient ne trouver dans Angers que l'image symboliquement homogène du caractère angevin, mais qui, si l'on veut bien y réfléchir, demontre, au contraire, en dessinant sa gigantesque silhouette sur les horizons calmes et délicats du pays environnant, que la traditionnelle douceur de l'Anjou n'exclut pas, lorsque les circonstances l'exigent, l'énergie tenace et résolue d'un peuple jaloux avant tout de son indépendance, et bien décidé à la défendre contre ceux qui voudraient y porter atteinte. Qualité exceptionnelle sans doute, mais que nos hôtes d'aujourd'hui seront, j'en suis convaincu, d'autant plus disposés à apprécier, qu'ils ont appris par les plus cruelles épreuves à en mesurer l'importance.

« De cette ténacité et de cette énergie, César fit jadis, on le sait, la douloureuse expérience, et la statue de Dumnacus qui s'élève aux portes d'Angers, sur un des ponts de la Loire, en témoigne devant l'histoire, de même que, sur un plan différent, celui de l'Art, la puissance créatrice du génial statuaire David d'Angers s'opposant à la sensibilité délicieuse du chantre des « Regrets », le doux poète de Liré, Joachim du Bellay, s'avère comme une nouvelle preuve de la lutte que peuvent se livrer au fond de l'âme angevine des sentiments contradictoires.

« Quoi qu'il en soit, il demeure certain que l'Angevin étant naturellement porté vers les œuvres de finesse et de douceur, ce sont surtout ces tendances essentielles qui s'affirment dans la physionomie générale de la capitale de l'Anjou, comme aussi dans le détail des différents aspects sous lesquels elle se présente.

« Discrètes et silencieuses, les vieilles rues de « La Cité » dont l'enchevêtrement aboutit à la cathédrale, ne connaissent la vie que par les pas feutrés des chanoines et des personnes pieuses qui se rendent aux offices. La cathédrale elle-même, au lieu d'offrir un ensemble architectural imposant, lance vers le ciel deux flèches hardies, mais surtout sveltes et fines.

« L'ancien palais épiscopal qui y est adossé et qui est devenu le Musée d'art religieux est, certes, d'un style assez lourd, mais il abrite, par contre, une des plus belles et des plus somptueuses collections de tapisseries anciennes, celle de l'Apocalypse. Il en est de même, d'ailleurs, du Logis Barrault où le Musée et la Bibliothèque enferment des richesses incomparables au premier rang desquelles brille l'œuvre admirable de l'immortel David d'Angers, qui fixa lui-même dans une série de médaillons les traits des écrivains et des hommes les plus célèbres de la Pologne au siècle dernier, des ruines de l'église Toussaint, prestigieux décor de dentelles finement découpé en plein ciel, de la maison d'Adam, de l'hôtel Pincé, véritable bijou architectural de la Renaissance, du Musée Saint-Jean où, dans une immense salle du style Plantagenet le plus pur, sont réunis les témoins les plus curieux des âges révolus et dont le cloître est une merveille de grâce et d'élégance sculpturales, de tous les monuments enfin qui s'échelonnent sur la terre angevine et qui sont à juste titre l'orgueil de ce pays d'Anjou l'un des plus intéressants à visiter et dont M. Clemenceau a dit un jour qu'il était « le coin de France où la France est le plus la France ».

« C'est au souci que les Angevins ont toujours eu de conserver intact leur tempérament propre, que l'Anjou doit d'avoir, du jour où il fut devenu, après de multiples convulsions, partie intégrante du royaume de France, maintenu l'esprit vraiment français que lui reconnaissait M. Clemenceau.

« C'est ce particularisme jaloux que, lorsque l'ancienne terre des Andes n'était qu'un conglomérat de peuplades *autochtones*, lui permit de résister à toutes les tentatives d'invasions, depuis celle des Romains jusqu'à celles des Bretons, des Normands et des Anglais. Il ne fit, d'ailleurs, que s'affirmer plus vigoureux que jamais lorsque, sous la famille des Foulques, le pays constitua, aux environs du X-e s., un comté distinct, centre d'une féodalité puissante avec Foulques V dont le fils épousa l'héritière d'Henri I-er d'Angleterre, premier jalon vers la dynastie des Plantagenets. Le régime féodal angevin devait s'achever avec Henri II qui réunit sous son autorité Touraine, Maine, Normandie jusqu'à l'Aquitaine par son mariage avec Aliénor d'Aquitaine.

« Lorsqu'au XIII-e s., l'Anjou fut réuni au domaine royal, les ducs Apanagistes d'Anjou, et en particulieer, Charles, frère de St.-Louis, manifestèrent des prétentions orgueilleuses sur les royaumes italiens. Le massacre des « Vêpres Siciliennes » où près de trois mille angevins trouvèrent la mort contribua à ruiner ces espérances chimériques. Seul le roi René, le « bon roi René », demeura fidèlement attaché à la gloire de son pays d'Anjou, et son règne connut des succès de tous ordres, tous vraiment angevins, et spécialement dans le domaine des Lettres et des Arts, jusqu'au jour où il se sentit lui-même attiré vers la Provence et la Sicile.

« Mais, voici que Louis XI, à la fin du XV-e s., réunit définitivement le duché d'Anjou à la couronne, et, à partir de ce jour, les ducs d'Anjou sont des princes du sang, étrangers au pays et qui ne font qu'ajouter ce titre à ceux qu'ils tiennent déjà de leur naissance. Tels, Henri III, fils de Cathérine de Médicis, et qui fut roi de Pologne, Philippe V petit fils de Louis XIV, fondateur de la dynastie d'Espagne, et, plus près de nous, le comte de Provence, frère de Louis XVI.

« Au milieu de tous ces changements, l'Anjou aurait sans doute perdu de son originalité, si la race n'était pas restée inébranlablement réfractaire à toute infiltration étrangère et jalouse de l'intégrité de son tempérament. En se fondant dans l'unité française, il n'a rien abandonné de sa physionomie intellectuelle et morale, il a bien mérité l'éloge que lui décerna celui dont nous avons recueilli pieusemeent le jugement si flatteur pour notre orgueil national, juste hommage rendu par un vrai Français à la plus française des provinces de France ».

A l'époque de l'Apocalypse motorisée

Le surréalisme, ce bâtard né d'un drôle d'accouplement de Freud et de Bergson, paraissait être mort, vieux et cacochyme, de sa belle mort. Le voilà ressucité soudain, inopinément, ressucité là où son encombrante personne semblait n'avoir que faire. Des fictions de l'art, il passa, avec ses surprises et ses insanités, dans la réalité courante.

A l'appui de ces dires, M. Juljusz Grot fait dérouler devant le lecteur la marche plus que bizarre, accélérée à l'impossible, capricante, folle, des événements actuels, des faits et gestes de tantôt.

Ainsi, au lieu d'une guerre « totale », promise d'un côté et prévue de l'autre, sur le front occidental, le théâtre des opérations se transporte, contre toute attente, à l'extrême Nord, près du cercle polaire, autant dire ; en place des combats à la Wells, acier et gaz, des embuscades, guets-apens, ruses de trappeurs à la Fenimore Cooper. Et puis, ne voit-on pas, tout à coup, la croix gammée accolée au marteau et à la faucille : ennemis jurés ; et une idylle grotesque entre deux Caliban, le russe et l'allemand, qui ne se parlaient, jusqu'ici, que l'écume à la bouche et une massue prête à cogner, à la main ? Dans la conduite des affaires publiques, l'inspiration du moment (toujours la recette surréaliste!) remplace les plans mûrement réfléchis, établis pour de longues années à venir ; l'intuition relève de leur tâche habituelle les examents approfondis, et l'argument : race ou classe, l'emporte sur la raison d'Etat. Naguère encore, la politique faisait partie des sciences exactes, comme l'algèbre ; maintenant, elle devient purement conjecturale à l'instar de l'alchimie, sinon un art, telle, la poésie. La différence entre la diplomatie d'antan et celle d'aujourd'hui s'avère également immense, incommensurable. L'on pourrait comparer la première à une patache que trainent de lourds chevaux de poste, et la seconde, à une limousine qui file, extra-rapide et silencieuse. Et que l'on place donc face à face, en parallèle, la conception politique d'un Pitt ou d'un Palmerston conception quasiment construite « more geometrico », la clairvoyance et la prévoyance statiques d'un Richelieu ou d'un Metternich avec le dynamisme vertigineux des hommes d'Etat d'à présent !

L'irrationnalisme que l'on relève dans ces multiples domaines provient de tout ce que les dictateurs mirent d'irrationnel, à bon escient, dans leur comportements, lors de leur ascension au pouvoir et pour s'y maintenir, coûte que coûte. Un dictateur tient d'un prestigiditateur, d'un hypnotiseur, d'un conquistador, d'un poète et, selon eux, d'un démiurge, à notre avis, d'un aliéné. Eh oui! Un des leurs n'a-t-il pas dit : « Il faut apprendre à vivre dangereusement » ? !

Cependant, cet irrationnalisme, ce surréalisme, transplanté des vues de l'esprit dans la vie publique, trouve devant soi la sempiternelle sagesse empirique de l'Angleterre, conjuguée avec l'immortel génie de la France, génie qui sut unir la clarté d'un Descartes, le bon sens d'un La Fontaine et l'élan de la pensée à la fois mystique et mathématique d'un Pascal.

Et ceci, dans la lutte suprême, gagnera sur cela.

Robert et Bertrand

Dans la presse mondiale pillulent, depuis quelque temps, des débats, réflexions, controverses sur le rôle que jouera la Russie dans la lutte des Allemands contre le blocus. La question devint plus aiguë encore, après la capitulation finlandaise : événement paraissant franchement défavorable à la cause des Alliés, parce que censé ouvrir un plein accès aux richesses de la Russie, si indispensables à l'Allemagne.

Mais les choses se passeraient - elles ainsi, à la satisfaction et selon les calculs de Hitler? L'on peut en douter, quoique dise M. Jean Mistler qui, dans un article de la « Revue de Paris », pousse ses prévisions au noir et considère, dès à présent, le blocus comme inopérant. Si son cri d'alarme a pour but de faire intensifier la guerre militaire, on saurait à la rigueur admettre l'utilité (mais non pas la justesse) de ce pessimisme. Car, l'aide des Soviets, pour ceux qui savent à quoi s'en tenir, semble plutôt illusoire. Après avoir pesé les possibilités et les disponibilités de la Russie, on arrive forcément à cette conclusion que l'Union Soviétique, en tant qu'alliée, ne vaut pas grand'chose. C'est, en effet, l'avis du colonel von Niedermayer, expert en la matière. Toutefois, si la Russie n'est point à même d'être une compagne de combat, digne de considération, elle peut servir de riche colonie à exploiter. Pour arriver à cette fin, l'abandon du pacte anti-komintern n'est certes pas d'un prix excessif.

Et alors nous sommes en présence d'un dilemme : dans cet accord de Robert et Bertrand, l'idéologie communiste va-t-elle pénétrer en Allemagne plus vite que n'arriveraient le pétrole et le minérai, — ou « vice versa »?

W ANTWERPJI

numery „Wiadomości Polskich" są do nabycia w księgarni „Progrès" (66 B, r. du Vanneau),

W LONDYNIE

w biurze M. I. Kolin, 36, Great Russell Street.

W celu uniknięcia opóźnienia w otrzymywaniu pisma i zbytecznych reklamacyj

PROSIMY O PODAWANIE ADRESÓW BARDZO WYRAŹNEM PISMEM — najlepiej literami drukowanemi.

Redaktor: *Zygmunt Nowakowski*

Le gérant : *Gabrielle Ricordeau*

IMPRIMERIE COOPÉRATIVE ETOILE
18-20, Fbg. du Temple, Paris (11e)

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS

123, Boulevard Saint-Germain, Paris (VIe)

Tél. : DAN. 04-42

MÉTRO : Odéon lub Saint-Germain-des-Prés

POLECA KSIĄŻKI W JĘZYKU POLSKIM I FRANCUSKIM PO CENACH ŚCIŚLE KATALOGOWYCH

OBECNIE POSIADAMY NA SKŁADZIE NASTĘPUJĄCE PODRĘCZNIKI DO NAUKI OBCYCH JĘZYKÓW:

1000 słów po francusku. Najłatwiejszy samouczek języka francuskiego w 34 lekcjach z 94 ilustracjami. Opracowali C. Buchholtz, dr. E. Wallenberg i M. Goryński **fr. 100.—**

Z. FRENKIEL — Mówmy po francusku. Wyd. trzecie .... **fr. 24.—**

B. HAMEL — Le français moderne à l'usage des Polonais. W oprawie kartonowej (ukaże się w najbliższych dniach) **fr. 25.—**

Paul HARDY — Moja metoda. Najłatwiejszy i najnowszy podręcznik do nauki języka francuskiego. W oprawie kartonowej (ukaże się w drugiej połowie marca) .... **fr. 24.—**

S. W. PIWAR — Praktyczna metoda języka angielskiego do nauki z pomocą lub bez pomocy nauczyciela ..... **fr. 36.—**

B. HAMEL — Podręczny słownik francusko-polski i polsko-francuski z wymową fonetyczną.

Część I: francusko-polska **fr. 65.—**

Część II: polsko-francuska **fr. 65.—**

J. STANISŁAWSKI — Słownik angielsko-polski i polsko-angielski. Oprawa płócienna. Całość w jednym tomie .... **fr. 100.—**

Prof. M. H. DZIEWICKI — Słowniczek-karzełek polsko-angielski i angielsko-polski, z wymową. W oprawie płóciennej ..... **fr. 27.—**

Ponadto posiadamy na składzie bogaty wybór słowników obcojęzycznych oraz książek ze wszystkich dziedzin. Na żądanie katalogi polskie i francuskie bezpłatnie ze wszystkich dziedzin i specjalności.

ZWRACAJ SIĘ Z PEŁNEM ZAUFANIEM DO KSIĘGARNI POLSKIEJ W PARYŻU

W NAJBLIŻSZYCH numerach „Wiadomości Polskie" drukować będą m. in.: **Zbigniewa Grabowskiego** „To jest inna wojna", **Aleksandra Janty** „Na froncie powietrznym", **Edwarda Krakowskiego** „Charles Péguy", **Marjana Kukiela** „Napoleon a dzień dzisiejszy", **Jana Lechonia** „Wieś we współczesnej literaturze polskiej", **Zygmunta Nowakowskiego** „Listy z Ameryki", **Marji Pawlikowskiej** „Słowa ku niebu", **Hermanna Rauschninga** „Zwierzenia Hitlera" **Zofji Zawadowskiej** „Wojna zaczęła się w Gdańsku", oraz specjalnie dla „Wiadomości Polskich" napisane artykuły: **Pierre'a Bernus, Emile'a Buré, Geneviève Tabouis.**